

Stanisław Ossowski

Zagadnienia więzi regionalnej i więzi narodowej na Śląsku Opolskim

Przegląd Socjologiczny / Sociological Review 9/1-4, 73-124

1947

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

STANISŁAW OSSOWSKI – WARSZAWA

ZAGADNIENIA WIĘZI REGIONALNEJ I WIĘZI NARODOWEJ NA ŚLĄSKU OPOLSKIM

Zbiorowość regionalna.

Kiedy na innym miejscu przeprowadzałem: rozróżnienie pomiędzy „ojczyzną prywatną“ i „ojczyzną ideologiczną“¹⁾, mówiąc o ojczyźnie ideologicznej miało się na myśli terytorium narodowe, całe bowiem tamto studium wyłoniło się z badań nad nowoczesnym nacjonalizmem. Ale nasze określenie ojczyzny ideologicznej ma szerszy zakres: ojczyzna ideologiczna to obszar, z którym jednostka jest związana nie poprzez swoje bezpośrednie, osobiste przeżycia względem tego terytorium i wytworzone drogą tych przeżyć nawyki, lecz poprzez swą przynależność do pewnej zbiorowości, do zbiorowości, która jest owemu terytorium jakoś przyporządkowana. Rola czynników osobistych w stosunku jednostki do ojczyzny ideologicznej to już sprawa interferencji ojczyzny prywatnej i ojczyzny ideologicznej.

Otóż tą zbiorowością nie musi być nowoczesny naród. Ojczyznę ideologiczną posiadały zbiorowości terytorialne różnego rodzaju, do których zastosowanie pojęcia narodu w jego nowoczesnym sensie budziłoby poważne wątpliwości. W dzisiejszej Europie można mówić także o ojczyźnie ideologicznej zbiorowości regionalnej: pomiędzy ojczyzną prywatną i terytorium narodowym może być miejsce na regionalną ojczyznę. To nie jest ojczyzna prywatna, jeżeli więź, która łączy jednostkę z ojczyzną regionalną, łączy ją poprzez uczestnictwo w zbiorowości.

„Region“ bywa pojmowany rozmaicie. Często traktuje się region jako jednostkę geograficzną, wyodrębnioną na podstawie cech terenu lub kryteriów gospodarczych. Region w tym sensie, który wchodzi w grę w naszych rozważaniach, tzn. w sensie socjologicznym, jest korelatem regionalnej zbiorowości. A regionalna zbiorowość to zbiorowość terytorial-

1) *Analiza socjologiczna pojęcia ojczyzny*, „Myśl Współczesna“, 1946.

na, która ma w większym lub mniejszym stopniu poczucie swojej odrębności, ale nie uważa się za naród; inaczej mówiąc, członkowie jej nie próbują przypisać swej zbiorowości atrybutów narodu. Zazwyczaj taka zbiorowość stanowi składnik jakiejś zbiorowości narodowej. Członkowie zbiorowości regionalnej, Podhalanie czy Kurpie, Burgundowie czy Gaskończycy mogą się czuć równocześnie patriotami swego regionu i patriotami ojczyzny narodowej. W bardziej zapadłych stronach Europy albo na niektórych pograniczach o skomplikowanej historii bywa wszakże i tak, że mieszkańcy nie sięgają poza więź regionalną, nie posiadając, jak się to mówiło, poczucia narodowego.

Trzecia wreszcie ewentualność, to bardzo silne poczucie odrębności regionalnej połączone z antagonizmem względem państwa, w którego skład wchodzi ów region, z tendencjami separatystycznymi, z ideologią, która zawiera także postulaty polityczne. Przywódcy takiej zbiorowości starają się do niej zastosować wzór zbiorowości narodowej i podejmują walkę według wzorów walki o wyzwolenie narodowe. Jest rzeczą dość względną, w którym momencie uznamy przeobrażenie się takiej regionalnej zbiorowości w naród. Około roku 1880 w Katalonii szerzy się ruch regionalistyczny, propaganda katalońskiej kultury i katalońskiego języka w ramach ojczyzny hiszpańskiej. Po roku 1890 mówi się coraz głośniejszy o „jedyniej ojczyźnie katalońskiej“. W takich wypadkach spory o to, czy mamy do czynienia z grupą regionalną, czy z kształtującym się narodem, są często sporami pomiędzy punktem widzenia grupy walczącej o emancypację narodową i punktem widzenia owej szerszej zbiorowości, która broni swego stanu posiadania i nie chce zrezygnować z jednego ze swych „regionów“.

W przeciwieństwie do zbiorowości narodowej tego typu, który dominuje w kontynentalnej Europie poza Związkiem Radzieckim, zbiorowość regionalna, jak mówiliśmy, może stanowić składnik szerszej zbiorowości, przy czym tą szerszą zbiorowością może być zarówno naród jak inna zbiorowość regionalna (regiony w regionach, wielkie i małe regiony). Z punktu widzenia socjologicznego nie ma powodu, aby nie uważać za regiony takich wielkich obszarów międzywojennej Rzeczypospolitej Polskiej, jak Galicja, Kongresówka, Poznańskie, których ludność zachowała poczucie odrębności wytworzone na skutek kordonów granicznych w czasie niewoli. Poznaniak czuł bardzo silnie swą odrębność w stosunku do galicjaka lub kongresowiaka, pomimo swego patriotyzmu polskiego. W tych wielkich zbiorowościach regionalnych wyodrębniały się mniej-

sze regiony, oparte na dawniejszej przeszłości i na różnicach folklorystycznych a przez to bardziej odpowiadających potocznemu używaniu terminu „region”: Podhalanie, Krakowiacy, Kurpie, Księżacy, Kaszuby.

Poczucie odrębności regionalnej może mieć różną genezę. Może mieć swe źródło w warunkach topograficznych izolujących w pewnej mierze region od terenów sąsiednich (Korsyka, wysepki zeelandzkie w Holandii, tereny poszczególnych klanów w pociętym fiordami, jeziorami i łańcuchami górskimi szkockim Highlandzie) albo narzucających odrębny typ życia gospodarczego i kontaktów sąsiedzkich (Podhale, Huculszczyzna, Polesie, Kurpie, Zagłębie Górnicze). Może być wynikiem odrębnej historii politycznej, przy czym wchodzi tu w grę bądź odrębność państwowa w przeszłości, bądź przynależność regionu w różnych okresach do różnych formacji politycznych. Hiszpania powstała z połączenia 17 królestw, jednego hrabstwa i dwóch seniorii, a odrębności, które dzieliły ludność tych państw przed zjednoczeniem, pozostawiły w różnych wypadkach trwałe ślady aż po dziś dzień. Alzacja i Lotaryngia w okresach przynależności do Francji różniły się od innych prowincji francuskich pamięcią o swych przeszłych związkach politycznych z Rzeszą Niemiecką; w okresach przynależności do Rzeszy czuła swą odrębność względem innych krajów niemieckich, między innymi przez pamięć o swej przeszłości w granicach Francuskiego Królestwa i Francuskiej Republiki. Odrębne koleje polityczne — obok innych czynników — wpłynęły na poczucie odrębności mieszkańców takich prowincji Jugosławii jak Bośnia, Banat, Sandżak, Macedonia, nie mówiąc już o Kroacji i Dalmacji. „Byliśmy przy Austrii, potem o mało nie byliśmy przy Czechach, potem byliśmy przy Polsce, potem przy Niemcach, teraz znowu przy Polsce” — skarżył mi się pewien mieszkaniec cieszyńskiego Ustronia. „Chcielibyśmy raz nareszcie wiedzieć, że jesteśmy gdzieś na stałe”. „My” to właśnie mieszkańcy Cieszyńskiego Śląska.

W pewnych wypadkach, zwłaszcza w stosunku do mniejszych obszarów, należy szukać przyczyn poczucia odrębności w warunkach historycznych innego rodzaju, takich jak przynależność ziemi łowickiej do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego albo jak królewskiej, dzięki którym na pewnych terenach życie społeczne chłopów układało się inaczej niż tam, gdzie kształtowała je bezpośrednia zależność od dziedzica.

Obok wszystkich takich sytuacji, gdzie odrębność grupy regionalnej wywodzi się z odrębności geograficznej czy politycznej regionalnego terytorium, musimy uwzględnić jako źródło poczucia odrębności regio-

nalnej pewne doniosłe dla życia społecznego własności kulturowe mieszkańców regionu, które nie muszą być związane genetycznie z topograficznymi własnościami terenu lub z jego przeszłością historyczną. Mam na myśli przede wszystkim odrębny język lub wyznanie. Odrębność językowa jest ważnym czynnikiem regionalizmu w różnych kresowych prowincjach Francji: w Bretanii, Flandrii, Alzacji, Nizy, kraju Basków, Roussillonie. W Polsce dialekt kaszubski, choć nie oddziela Kaszubów od Kociewiaków czy Mazurów barierą niezrozumiałości, w pewnej mierze takąż odgrywa rolę. Zauważmy, że odrębny język może być czynnikiem odrębności regionalnej nawet wtedy, gdy używa go tylko część mieszkańców regionu, jak to ma miejsce np. w Bretanii, i wówczas bowiem język może stanowić element kultury lokalnej, szanowany nawet przez tych, którzy się nim nie posługują.

W poszczególnych wypadkach mogą ze sobą współdziałać różne czynniki odrębności regionalnej. Ale region może zawdzięczać swą odrębność s k r z y ż o w a n i u pewnych cech, z których każda łączy go z inną całością terytorialną. O d r ę b n o ś ć g r u p o w a m o ż e być bowiem wynikiem równoczesnej lub kolejnej przynależności danej grupy do dwóch różnych większych zbiorowości. Flamandów belgijskich łączy z Walonami przeszłość polityczna i katolicyzm; z Holendrami język. Mazurów pruskich łączył z północnym Mazowszem rdzennej Polski język; z Niemcami łączyła przynależność polityczna i wyznanie. Wyznanie dzieliło ich nie tylko od Mazurów zza kordonu, ale również od polskich mieszkańców Ziemi Chełmińskiej, z którymi byli związani politycznie od r. 1772 do 1919, i od Warmiaków, z którymi łączą ich wspólne koleje polityczne od lat 175. Jeżeli Ukraińcy galicyjscy stanowili zbiorowość regionalną o silnym poczuciu odrębności, to dlatego że z zachodem związały ich dzieje polityczne i katolicyzm, ze wschodem język i obrządek grecki.

Wieś nad Odrą

Jesteśmy oto na Śląsku Opolskim, kilkanaście kilometrów na północ-zachód od Opola. Jest to teren dawnej Regencji Opolskiej czyli jeszcze teren dawnego Górnego Śląska, aczkolwiek znajdujemy się znacznie bliżej Wrocławia niż Katowic. Oczywiście pod względem gospodarczym ta dolna część Górnego Śląska ma równie mało wspólnego z tym, co przywykliśmy kojarzyć z mianem Górnego Śląska, jak rozległe obszary farmerskiej Ameryki z obrazami przemysłowych metropolii, które nasu-

wają się Europejczykowi na widok liter U. S. Jest to Śląsk rolniczy o wielkich wsiach murowanych, wąskich drogach i miedzach, o intensywnie wyzyskanym każdym metrze kwadratowym ziemi, bez pastwisk i ugorów. Horyzont zamyka linia lasów a na południo-zachód w pogodne dni sinieje daleka sytweta łańcucha gór sudeckich.

Znajdujemy się w granicach obszaru plebiscytowego z r. 1921 ale w tej jego części, która przypadła Niemcom, i to nawet nie w pasie pogranicznym: od polsko-niemieckiej linii granicznej, która w r. 1921 przecięła Górny Śląsk, oddziela nas co najmniej 50 km.

Po prawej stronie Odry zachodnia granica językowa z czasów przedwojennych biegnie o kilkanaście kilometrów. Chociaż jednak znajdujemy się na pograniczu obszaru językowego, wsi położone w tym kilkunastokilometrowym pasie nadrzecznym były zamieszkałe przez ludność polską z większą tylko lub mniejszą domieszką Niemców napływowych, jak się zdaje, głównie dość świeżej daty. Wedle niemieckiej mapy, opracowanej w r. 1906 przez P. Langhansa, ludność niemiecka na tym terenie aż do granicy językowej po prawej stronie Odry wynosiła od zera do 25%. Koloniści niemieccy, którzy zamieszkali we wsiach polskich w drugiej połowie XVIII wieku, w znacznej mierze spolonizowali się tak, jak koloniści niemieccy w Polsce centralnej. Świadczą o tym nagrobki na cmentarzach wiejskich o niemieckich nazwiskach i polskich napisach, świadczą również niemieckie nazwiska niektórych patriotów polskich po wsiach. Zachowały się natomiast aż do ostatniej wojny niemieckie wsie zakładane tutaj po wojnie siedmioletniej. „To Fryc der Grosse tak zapaskudził kraj“ mówił mi jeden z tamtejszych gospodarzy.

Te kolonie niemieckie to równocześnie wyspy protestanckie w kraju katolickim. Zresztą i tam z czasem napływają katolicy; głównie są to, jak się zdaje, Polacy z sąsiednich wiosek. Nie wiem, w jakiej mierze charakterystyczne są dla tych kolonii dane liczbowe, które znalazłem dla Kolonii Finkenstein (od nazwiska pruskiego ministra), założonej w r. 1773 a nazywanej przez ludność polską Brzezie:

	katolicy	protestanci
1783	—	109
1857	18	245
1887	49	220
1902	94	227
1912	107	230
1929	140	200

Materiały socjograficzne zebrałem podczas trzytygodniowego pobytu na Śląsku Opolskim z asystentem p. Janem Strzeleckim w sierpniu 1945 r. głównie w jednej z największych wsi na Opolszczyźnie, którą nazwiemy sobie Gielczynem. Badania subwencionował Polski Instytut Socjologiczny.

Czas ten, chociaż spędzony bardzo intensywnie, był okresem zbyt krótkim, aby można było dać jakąś charakterystykę struktury społecznej wsi, pokusić się o wnioski dotyczące stopnia powszechności postaw ideologicznych, o których będzie mowa. Oceny liczbowe, jakie otrzymywałem od mieszkańców Gielczyna, należy traktować—poza niektórymi wypadkami konkretnych wyliczeń—jako wyraz przekonań tych osób albo niekiedy nawet jako wyraz ich dezyderatów. W poszczególnych wypadkach stwierdziłem pod tym względem znaczne rozbieżności: liczba członków Związku Polaków przed wojną w Gielczynie w okresie najpomyślniejszym wedle jednej relacji wynosiła 500 ludzi, wedle drugiej — powyżej 100 ludzi; oddział powstańców, który wyszedł z Gielczyna: 200 ludzi i 150 ludzi, w tym 70 mieszkańców Gielczyna ¹⁾; liczba dzieci w szkole polskiej w ostatnich latach przed wojną: 20 dzieci i 7 dzieci. W tym ostatnim wypadku liczbę dało się sprawdzić przez imienne wyliczenie uzyskane od jednej z ówczesnych uczennic. Nie miałem jednak czasu, aby w podobny sposób sprawdzać inne dane.

Natomiast dzięki dość pomyślnym warunkom badań był to okres dostateczny, aby zorientować się w charakterystycznych postawach pewnego środowiska ludności wiejskiej tamtych okolic, aby zanotować pewne interesujące zjawiska socjologiczne i zdać sobie sprawę, jaką postać przybierają zagadnienia więzi regionalnej i więzi narodowej w zastosowaniu do tego konkretnego terenu. Niniejszy szkic traktuję też głównie jako postawienie zagadnień, które mogłyby stanowić punkt wyjścia dla dalszych badań.

Mówiąc o pomyślnych warunkach badań mam na myśli pozyskanie zaufania jednego z najbardziej szanowanych gospodarzy Gielczyna, a to dzięki wcześniejszej znajomości z jego synem; następnie, dodatnią presumpcją, jaką budził tytuł profesora uniwersytetu wśród mieszkańców wsi, brak oporów klasowych, łatwość rozmawiania z przybyszem na stopniu towarzyskim, a wreszcie nadzieje różnych ludzi pokrzywdzonych przez nagłą zmianę warunków, że ten „profesor z Warszawy“ będzie mógł

1) W rzeczywistości oddział ów liczył 80 ludzi, w tym 31 mieszkańców Gielczyna. Ale uczestników spisku powstańczego było w Gielczynie 95. Oddział, który wyszedł z Gielczyna, składał się wyłącznie z uczestników nieżonatych. Cyfry te podaję na podstawie imiennego spisu, który się przechował u wodza oddziału. Ze spisu tego miałem sposobność skorzystać w czerwcu r.b.

dać dobrą radę lub swoje poparcie. Stąd skłonność do dłuższych rozmów, a chociaż początkowo taka rozmowa zmierzająca do określonego celu kierowana bywała nieraz jakimś dyplomatycznym planem, łatwo przekształcała się po pewnym czasie w rozmowę kierowaną już raczej potrzebą wywnętrzenia się przed kimś, kto słucha życzliwie. W ten sposób zdemaskowanie mego incognita, którym się na razie martwiłem, okazało się rychło w skutkach pozytywne.

Giełczyn to duża wieś, licząca z przysiółkami przed wojną trzy tysiące kilkaset mieszkańców, położona przy torze głównej kolei Śląska na linii Opole—Wrocław w parukilometrowym pasie pomiędzy lasem i korytem Odry. Osiedle posiada dwa kościoły katolickie: jeden w środku wsi, duży murowany niedawnej daty, drugi — stary, drewniany pod lasem, miejsce odpustów, otoczone legendą. Niewielka stosunkowo przestrzeń (975 ha) ściśnięta pomiędzy lasem, Odrą i terenami wsi sąsiednich nie wystarczyłaby na wyżywienie liczego osiedla, gdyby nie stacja kolejowa, las i kilka zakładów przemysłowych (stocznia na Odrze, niewielka fabryka trykotarzy, tartak i dwie cegielnie), które dają zarobek bezrolnym i małorolnym.

Wieś liczy czterdziestu kilku gospodarzy („gburów“), ludzi niezależnych, pracujących wyłącznie na swoim; z tego mniej niż połowa kilkunastohektarowych, którzy stanowią arystokrację wiejską. Małorolnych zagrodników jest ponad 250. Reszta (około 60% całej ludności) to właściciele gospodarstw bezrolnych lub prawie bezrolnych i komornicy. Nie należy jednak na to osiedle nadodrzańskie rzutować struktury społecznej wsi z nad jakiegoś Wisłoka z czasów przedwojennego bezrobocia. Tam podział mieszkańców na kmieci, zagrodników i komorników miał inny sens gospodarczy.

W Giełczynie gospodarze cenią sobie swą niezależność, ale nie znaczą to, aby się uważali za uprzywilejowanych ekonomicznie w stosunku do małorolnych, którzy zarabiają na kolei lub w przemyśle. Zwłaszcza żony lub córki niektórych gospodarzy mówią z pewną zazdrością o żonach tamtych ludzi, którzy pracują na kolei lub chodzą na zarobek: nie mając dużego gospodarstwa tamte kobiety nie pracują tak dużo jak żony gospodarzy, mogą mieć czyste ręce i ładnie się ubrać. Do konfliktów z małorolnymi i robotnikami dochodziło przy wyborach do Rady Gminnej. Bogatym gospodarzom nie udawało się przeprowadzić swego wójta lub sołtysa. Pozatym przedmiotem konfliktów między gburami i zagrodnikami, które znalazły wyraz w długoletnich procesach sądowych, były dawniej pastwiska wiejskie.

Skądinąd umysłowość tych gospodarzy jest nieco inna, niż umysłowość zamożnych kmieci z Małopolski lub z Polski centralnej. Jest rzeczą charakterystyczną, że paru gospodarzy Giełczyna, z którymi mówiłem o sprawach ekonomicznych, wypowiadało się w sposób zdecydowany przeciw wprowadzeniu wolnego handlu w obecnych warunkach: dopóki nie ma wszystkiego pod dostatkiem, produkty powinny być sprzedawane tylko na kartki — potrochu ale dla każdego.

Ludność rolnicza, a przede wszystkim gospodarze, należą przeważnie do rodzin osiadłych z dziada pradziada w Giełczynie albo najbliższej jego okolicy. Świadczą o tym nagrobki na cmentarzu, gdzie powtarzają się ciągle te same nazwiska, świadczą również stosunki sąsiedzkie — wzajemna znajomość antenatów. Przy zakładaniu Erbhoffów¹⁾ za czasów hitlerowskich stwierdzono podobno, że zagroda Młynka w sąsiedniej wiosce należy do rodziny Młynków od lat 700. Nie było tu nigdy dworu: przed uwłaszczeniem Giełczyn wchodził w skład dóbr klasztornych.

Obraz Giełczyna, który stamtąd wyniosłem, jest to obraz oglądany przede wszystkim oczyma owych gospodarzy, gdyż z tą grupą miałem najwięcej do czynienia. A jest to grupa bardzo wyraźnie wyodrębniająca się w społecznej strukturze wsi. Przygodne spotkania, rozmowy z ludźmi wracającymi z odpustu nie stanowią dostatecznej przeciwwagi owych kmiecych aspektów. Nie udało mi się w szczególności podczas tego krótkiego pobytu zapoznać się z punktem widzenia miejscowego proletariatu, który, sądząc z liczby głosów, jakie jeszcze w r. 1932 padły na listę socjalistyczną i komunistyczną podczas wyborów do parlamentu, musiał zajmować poważną pozycję w życiu osiedla.

Polskość i katolicyzm

Giełczyn to osiedle od wieków katolickie. Wedle *K r o n i k i P a r a f i a l n e j*, wydanej przez ks. Rocha Scheitzę (zapewne Siejcę) w roku 1934, ruch ludności względem wyznaniowym w ciągu ostatniego półwiecza przed wojną przedstawiał się następująco:

	katolików	protestantów	Żydów
1887	2108	28	10
1891	2155	19	10
1895	2185	4	2
1897	2200	18	8
1902	2113	15	12
1912	2441	31	4
1929	3041	45	8

¹⁾ Dziedzicznych zagród niepodzielnych.

Skoki w kolejnych liczbach protestantów zdają się wskazywać, że ta nieliczna grupa wyznaniowa składa się raczej z ludzi obcych. Do czasu plebiscytu żyło w Giełczynie — jak twierdzą jego mieszkańcy — zaledwie kilkanaście rodzin niemieckich. Byli to prawie wyłącznie urzędnicy i nauczyciele.

Z Giełczyna wyszła pewna liczba inteligentów: kilku nauczycieli, przeważnie takich, którzy się po plebiscycie przenieśli na polski Śląsk, majster budowniczy, oficer niemiecki, który, jak mówią, dostarczał podczas wojny broń i amunicję polskim partyzantom za Warszawą, lekarz, wreszcie z młodszego pokolenia artysta rzeźbiarz, obecnie asystent w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, i kolega jego doktor filozofii Uniwersytetu Jagellońskiego. Ale stanowisko, które najbardziej ciągnęło zdolniejszych mieszkańców Giełczyna, to stanowisko księdza. Wedle K r o n i k i P a r a f i a l n e j od początku XIX wieku do r. 1934 wyszło z Giełczyna 20 księży świeckich i 4 kleryków, którzy zmarli przed ostatecznym wyświęceniem. Poza tym pewna liczba zakonników i wiele zakonnice. Na powołanie do stanu duchownego ma zresztą wpływ tradycja rodzinna: jedna rodzina wydała w ciągu stulecia czterech księży, druga trzech, trzecia pięciu. Podczas wojny umarł w Giełczynie starzec, polski patriota z przezwiskiem „święty“, który był ojcem czterech księży i trzech „panien“ (zakonnice).

W r. 1934 istniało w Giełczynie 12 zrzeżeń katolickich: 1) Bractwo Różańca Św., 2) Bractwo Serca Pana Jezusa, 3) Zakon św. Franciszka, 4) Stowarzyszenie św. Franciszka Xawerego, 5) Stow. Matek Chrześcijańskich, 6) Kongregacja Mariańska Dziewcząt, 7) Stow. Dzieciątka Jezus, 8) Apostolat Mężczyzn, 9) Stow. św. Bonifacego, 10) Stow. Mężczyzn, 11) Czytelnia św. Boromeusza (200 tomów) i 12) Katholischer Frauenbund, założony już po dojściu do władzy Hitlera.

Jak się przedstawiało poczucie narodowe mieszkańców Giełczyna? Opinie, które się w tej sprawie słyszało w r. 1945 od miejscowych gospodarzy, trzeba przyjmować bardzo ostrożnie. Wszak to był okres weryfikowania polskości. Od tego, czy ktoś został uznany za Polaka czy nie, zależały losy jego i losy jego rodziny; od tego zależało, czy pozostanie w swej chacie ze swoim dobytkiem, czy też pójdzie jako nędzarz na turlaczkę, poprzedzoną, być może, miesiącami pokuty obozowej. Jakże tu się dziwić, że przez solidarność gromadzką ci, którym nie groziło wysiedlenie, usiłowali bronić patriotyzmu zagrożonych sąsiadów. Wchodziła w grę także ambicja: nowi przybysze z Polski centralnej a tym-

bardziej imigranci z Wołynia lub Ziemi Lwowskiej pogardliwie traktowali polskość Ślązaków, którzy wtrącają liczne słowa niemieckie, noszą się z niemiecką i których dzieci wychowywane już w czasach hitlerowskich nie rozumiały często po polsku. W tych warunkach zrozumiiała jest tendencja do przejawiania każdego objawu polskości ze strony tych, którzy „swej polskości przez 600 lat bronili po to, aby ich teraz po wypędzeniu Niemców, nazywano Niemcami“.

Gospodarz, u którego mieszkałem, rozróżnia trzy „sorty“ Polaków wśród ludności miejscowej: 1. tacy, którzy „do końca pokazowali się Polakami“; 2. tacy, którzy byli prawymi Polakami, przed wojną należeli do Związku Polaków, dzieci chowali po polsku, ale w czasie prześladowań bali się swoją polskość okazywać; 3. tacy, którzy byli zależni od niemieckiego pracodawcy i musieli zachowywać się jak Niemcy. „Kto pracował u Niemców — mówi stary Gwiazda — a nie podawał się za Niemca, nie mógł dostąpić postępu“. Dotyczy to np. kolejarzy. Jako Polak mógł pracować tylko z kilofem. Wstąpiwszy do organizacji niemieckiej mógł awansować. Jeżeli przed wojną wstąpił do „partai“, to był niewiele wart, ale podczas wojny presja była bardzo silna, mógł więc wstąpić do „partai“ i porządny człowiek, tylko lękliwy albo obarczony rodziną. Niejeden „partajczłowiek“ oddawał duże usługi Polakom uprzedzając ich o zamiarach niemieckiej policji.

Na tle powszechnych opowiadań mieszkańców o niewątpliwej polskości Giełczyna i na tle dawnych niemieckich statystyk narodowościowych uderzają jaskrawo wyniki wyborów do Reichstagu z dn. 6.XI.1932, tzn. ostatnich wyborów przed przyjściem Hitlera do władzy. W wyborach tych katolickie niemieckie Centrum otrzymało 442 głosy, Komuniści 229, Social-Demokraci 141, Narodowi Socjaliści 148, Niemiecko-Narodowi 46, Partia Polska 134.

Lista uświadamia nam istnienie czterech nurtów ideowych w społeczności Giełczyna: katolicyzm, radykalizm społeczny, polskość i niemieckość. Listy katolickie (Centrum i Partia Polska) otrzymały przeszło połowę głosów, ale katolicka lista niemiecka otrzymała z górą trzy razy więcej głosów niż lista polska. Biorąc pod uwagę skład etniczny ludności Giełczyna, biorąc pod uwagę fakt, że w owym czasie wszystkie stowarzyszenia katolickie w parafii są zrzeszeniami polskimi, wreszcie zdając sobie sprawę, że część głosów, które padły na listę Komunistów i listę Socjal-Demokratów to głosy niemieckie, że wszystkie głosy na listę Niemiecko-Narodowych i prawie wszystkie zapewne na listę Narodowych

Socjalistów to głosy Niemców, musimy przyjąć, że największą liczbę polskich głosów w Gielczynie skupiło niemieckie Centrum.

Poważniejsi gospodarze proszeni o wyjaśnienie tego faktu mówią o presji ze strony partii hitlerowskiej, która w listopadzie 1932 r. przygotowywała się do objęcia władzy i nawoływała do głosowania jawnego: „My się nie wstydzimy swoich głosów“, mówili hitlerowcy. Ta presja jednak nie musiała być w owym czasie jeszcze tak silna, skoro komuniści i socjaliści mogli na swych listach skupić 32% głosów, co jak na gminę wiejską stanowi poważny odsetek. Sądzę tedy, że nierównie ważniejszym czynnikiem niż ów nacisk na jawność głosowania była agitacja księży, księży, którzy mieli polskie nazwiska, wygłaszali polskie kazania i spowiadali po polsku, ale uważali, że w interesie katolicyzmu należy popierać najpotężniejszą listę katolicką tzn. Centrum. Katolik miał do wyboru dwie listy: Centrum i listę polską. Skoro jednak z katolickiego punktu widzenia zagadnienie narodowości nie wchodziło w grę, łatwo uzyskiwał przewagę prestiż partii, o której się wiedziało, że ma w Reichstagu większe znaczenie.

W granicach powersalskiej Rzeszy

Żałuję, że nie mam dostatecznych materiałów, które pozwoliłyby się bliżej zorientować w pewnego rodzaju procesie polaryzacji postaw narodowych po podziale Śląska. Klęska Niemców w r. 1918, plebiscyt, powstanie śląskie, to wydarzenia, które przerzuciły zagadnienie narodowe na Śląsku na zupełnie nową w stosunku do czasów poprzednich płaszczyznę, otwierając przed ruchem polskim zgoła nieoczekiwane horyzonty. Po klęsce plebiscytowej, jaką poniosła Opolszczyzna trudno już było wrócić do tych postaw psychicznych, z jakimi przed tamtą wojną skutecznie przeciwstawiali się Ślązacy germanizacyjnej polityce Kulturkampfu, przyspieszając sobie przy kuflach piwa:

Kamraci, kamraci razem się napijmy,
O naszej rodzinie zaś nie zapomnijmy ¹⁾.

¹⁾ „Rodzina“, oczywiście, w znaczeniu „ziemia rodzinna“, czy też „ogół rodaków“. W każdym razie tę śpiewkę cytowano mi w Gielczynie jako śpiewkę patriotyczną sprzed pierwszej wojny.

Były wypadki, jak mi informował mój gospodarz, że w czasie powstania ojcowie uważali się za Germanów a synowie walczyli w powstańczych szeregach po polskiej stronie: to był, wedle mego gospodarza, wynik wychowawczych wpływów polskiej świetlicy.

Wprawdzie polskość Opolskiego Śląska była teraz pod opieką konwencji genewskiej i umów polsko-niemieckich, wprawdzie komunikacja z Polską była ułatwiona, ale zdawano sobie sprawę, że opieka międzynarodowa nie jest wieczna a rozbudzone świeżo nadzieje polityczne zostały aktem z r. 1921 pogrzebane w przekonaniu ludności polskiej raz na zawsze. Nastrój rezygnacji po plebiscycie odbił się w spadku polskich głosów do rady gminnej i do parlamentu. Przy tym Niemcy, nauczone doświadczeniem plebiscytu, zajęły się w sposób mniej drastyczny niż dawniej, z zachowaniem formalnym przyjętych zobowiązań, ale zato znacznie bardziej systematyczny sprawą stopniowego likwidowania polskości na wschodnich swych terenach. Intencje te znalazły dobitny wyraz w książce nadradcy stanu pruskiego urzędu statystycznego Kellera: „Nie wiemy, czy w przyszłości nie nastąpi znów taka sytuacja polityczna, w której to czy inne życzenie będzie znowu wysuwane. Dlatego nie jest zbyt trudnym zadaniem coraz to na nowo udowodniać niemiecki charakter tych ziem, które nam wprawdzie traktaty pokojowe pozostawiły, ale do których w 1918/19. wrogowie nasi zgłaszali pretensje“¹⁾.

W Giełczynie zarówno Związek Polaków jak Stowarzyszenie Młodzieży, które jeszcze w ostatnich latach przed wojną liczyło podobno około 50 członków, wykazywały dość dużą aktywność w urządzaniu imprez kulturalnych, zabaw, a niekiedy także wycieczek do Polski przy poparciu Rządu Polskiego. Istniało również obok analogicznych stowarzyszeń niemieckich polskie Towarzystwo Śpiewacze i Tow. Przedstawień Amatorskich. Ale do polskiej szkoły zgłosiło się po jej założeniu w r. 1924 około 60 dzieci, a z tej liczby przeszło połowa wycofała się na skutek perswazyj nauczycieli niemieckich i innych Niemców. W r. 1929 trzy niemieckie szkoły katolickie w Giełczynie liczyły 597 dzieci i 9 nauczycieli, szkoła polska liczyła 21 dzieci i jednego nauczyciela. W r. 1937/8 było w tej szkole tylko 7 dzieci a w roku następnym została zamknięta z powodu zbyt małej liczby kandydatów²⁾. W sąsiedniej wsi nawet w najpomyślniejszym okresie nie udało się otworzyć szkoły polskiej, gdyż nie można było znaleźć odpowiedniej liczby dzieci, aczkolwiek minimum, które było

1) Keller Karl — Oberregierungsrat im Preussische Statistische Landesamt: *Die Fremdsprachige Bevölkerung im Grenzgebiete des Deutschen Reiches*, Berlin 1929, str. 62. Cytuję za E. Kurońskim, „Sprawy Narodowościowe“ 1938, Nr. 4—5, str. 386.

2) O metodach wywierania presji na polskich rodziców, aby nie posyłali swych dzieci do polskiej szkoły, o metodach zastraszania ludności polskiej w ostatnich latach przed drugą wojną mówi Memoriał Związku Polaków w Niemczech z d. 2 czerwca 1938 r., wystosowany do Ministra Spraw Wewnętrznych Rzeszy i Prus (Patrz: *Sprawy Narodowościowe“* 1938, Nr 3).

wedle genewskiej konwencji wystarczające, aby się na Śląsku domagać szkoły mniejszościowej, wynosiło zaledwie 12 dzieci. W tych warunkach posyłanie dziecka do polskiej szkoły było czymś więcej niż wyrazem przywiązania do ojczystego języka. Jeden z gospodarzy, którego dzieci należały do owej ostatniej siódemki, mówił mi, że utrzymanie polskiej szkoły wbrew całemu naciskowi wywieranemu przez Niemców uważał za fakt doniosły pod względem moralnym, chociażby tylko minimalna liczba dzieci z tej szkoły korzystała.

Na Polskim Śląsku niemiecki Volksbund oczekiwał dnia odwetu, liczył na przyszłą wojnę i przygotowywał się do tej wielkiej chwili. Na Śląsku Opolskim Związek Polaków mógł liczyć co najwyżej na okazję odśpiewania „Jeszcze Polska nie zginęła“ i „Deutschland über alles“ przed ministrem Beckiem i ministrem niemieckim, jak to się zdarzyło podczas berlińskiego zjazdu Związku Polaków w r. 1935.

Dodajmy jeszcze jedną ważną okoliczność: wyjałowienie terenu z patriotycznego aktywu. Po plebiscycie znaczna część najbardziej patriotycznie usposobionych księży, nauczycieli, działaczy społecznych przeniosła się do Polski. Ci, którzy pozostali, nie czuli już wokół siebie takiego oparcia jak przed plebiscytem. Co gorsza, widzieli, że są w kraju, który jest opuszczony przez swoich, przez najbardziej swoich; w kraju, gdzie pod względem narodowym w miarę lat upływających od Wersalskiego Traktatu sytuacja mogła się tylko pogarszać.

Jeżeli tedy ktoś jeszcze w czasach hitlerowskich „pokazał się Polakiem“, a nie miał zamiaru emigrować na wschód czy na północ, czynił to już chyba tylko dla honoru albo przez poczucie solidarności z pewną grupą współmieszkańców. Oczywiście w tym wypadku nie wchodziła w grę grupa etniczna, która — jak się tam mówi — „przez 600 lat broniła swej polskości“, lecz całkiem drobny zespół jednostek wyznających obok ideologii katolickiej jeszcze ideologię innego rodzaju.

Rzeczownik czy przymiotnik.

Zatrzymajmy się przez chwilę nad znaczeniem słowa „Polak“ w ustach mieszkańców Giełczyna i wsi okolicznych. Taka „semantyczna“ dygresja uchroni nas może od pewnych nieporozumień, jakie wynikają z rzutowania w to środowisko koncepcyj wytworzonych tam, gdzie życie narodowe kształtowało się na tradycjach państwowych.

Przede wszystkim tedy zauważmy, iż termin „Polak“ w zastosowaniu do ludzi miejscowych nie ma tutaj normalnego rzeczownikowego

znaczenia, do któregośmy przywykli; znaczenia wskazującego na członka zbiorowości narodowej, w której uczestnictwo nie stopniuje się, ani też w zasadzie nie daje się pogodzić z uczestnictwem w jakiegokolwiek innej narodowej zbiorowości ¹⁾.

Rzeczownikowy sens terminu „Polak“ nie jest obcy wsi opolskiej, ale odnosi się do innego gatunku ludzi, do przybyszów zza dawnego kordonu polskiego. „Oni są tys Polok, ale oni nie pedzą, co by mnie zawarli?“ powiedziała mi babina, której etniczna polskość nie mogła podlegać wątpliwości, a która zaniepokoiła się swoją szczerością naskarżywszy mi się na krzywdy, wyrządzane miejscowej ludności przez świeżo przybyłych „Poloków“.

Statystyki pruskie do r. 1939 nie wprowadzały rubryk narodowościowych tylko rubryki językowe (M u t t e r s p r a c h e), przy czym istniała kategoria „dwujęzycznych“. Początkowo kategoria ta miała obejmować raczej wypadki wyjątkowe; instrukcja wyjaśniała: „Każdy człowiek posiada jeden język ojczysty. Dwa języki ojczyste posiadają tylko nieliczni ludzie. Zdarzają się jednak takie wypadki u osób, które pochodzą od rodziców o różnych językach macierzystych“. W praktyce kategoria dwujęzycznych służyła do obniżania liczby Polaków, a równocześnie stanowiła ucieczkę dla tych wszystkich, którzy nie chcieli wyraźnie deklorować swej narodowości.

Po Traktacie Wersalskim kategoria dwujęzycznych poczęła rozrastać się w sposób przerażający, aż w r. 1933 liczba tych, którzy na terenie Rzeszy podali dwa języki macierzyste: polski i niemiecki, była przeszło 2½ raza większa niż liczba Polaków jednojęzycznych, przy czym instrukcja w dalszym ciągu informowała, że „z reguły każdy człowiek posiada tylko jeden język ojczysty“! Co prawda dodano dalsze wyjaśnienia, które pozwoliły swobodnie interpretować pojęcie „macierzystego języka“ ²⁾ i które ułatwiły osiągnięcie tak efektownych rezultatów.

W r. 1938 wprowadzono do formularzy, obok przynależności państwowej (S t a a t s a n g e h ö r i g k e i t) i języka macierzystego, przynależność narodową (V o l k s z u g e h ö r i g k e i t), a załączone do formularza przykłady zachęcały do deklarowania narodowości niemieckiej na-

1) Pomijamy tutaj sytuację, w której mówi się o tzw. „drugiej ojczyźnie“, sytuację traktowaną na ogół jako wyjątkową i dopuszczalną w środowisku emigracyjnym, ale nie na pograniczu.

2) Język „w którym (człowiek) myśli i którym się w rodzinie i w domu lubi najbardziej posługiwać“ (Podkreślenie moje. St. O.).

wet przy języku macierzystym polskim (niezależnie od przynależności państwowej)¹⁾.

Jak widzimy, pruskie spisy ludności nie sugerowały wyraźnego „gatunkowego” podziału na Polaków i Niemców. Nie sugerowały go również wspomnienia z czasów plebiscytu, pomimo że w tym okresie wybór pomiędzy dwiema alternatywami dokonywał się w sposób ostry, bez żadnej kompromisowej kategorii „dwujęzycznych” i pomimo że ostrość podziału została przypieczętowana krwią. Pomijając już fakt, że można się było wstrzymać od głosowania zachowując w ten sposób neutralność, dwa zwalczające się obozy to były obozy o różnych orientacjach — obóz tych, którzy szli za Niemcami, i tych, którzy szli za Polską — ale nie dwa zespoły ludzi różnych „gatunkowo”: Niemców i Polaków. W niemieckich i polskich oddziałach obok ludzi obcych: obcych Niemców, których było wielu, i obcych Polaków, którzy byli mniej liczni, walczyli tacy sami miejscowi ludzie, przy czym ten, który walczył w polskim oddziale, nieraz mówił po polsku gorzej i rzadziej niż ten, który służył w oddziale niemieckim²⁾.

Ci spośród miejscowej ludności, którzy kierowali akcją plebiscytową, ci, którzy odznaczyli się w powstaniu, ci, którzy pozostali po klęsce plebiscytowej i w beznadziejnych już warunkach nie zaprzestali głosić polskości Śląska, ci, którzy na przekór wszelkim przestrogom posyłali dzieci do polskiej szkoły, propagowali wstępowanie do Związku Polaków, sprowadzali polskie książki zza kordonu, to w oczach miejscowego środowiska nie byli Polacy tout court: to były „wielkie Poloki”, „ogromne Poloki”, „okrutne Poloki”. W tych pospolicie tam używanych zwrotach termin „Polok” ma sens wyraźnie przymiotnikowy, ulega stopniowaniu: jest się większym lub mniejszym „Polokiem”, tzn. człowiekiem, w którego życiu odgrywa większą lub mniejszą rolę pewna ideologia. W tym przymiotnikowym sensie słowo „Polok” jest raczej odpowiednikiem terminu „narodowiec”, oczywiście bez tego politycznego zabarwienia, jakie ów termin posiada tam, gdzie istnieją „narodowe stronnictwa”.

Stary socjalista na Śląsku Cieszyńskim opowiadając o swoich walkach z koźdoniowcami nazywa siebie i swoich przyjaciół, również socjalistów, „narodowcami”, albowiem dla niego narodowcem jest ten, kto

1) Termin spisu został przesunięty na rok 1939.

2) Taki stan rzeczy znalazł odbicie w jaskrawej anegdocie, którą p. Jan Strzelecki zanotował w innej wsi na północnej Opolszczyźnie i która, mam nadzieję, ukaże się w jego pracy.

się czuje związany z polską zbiorowością narodową a nie tylko z rodakami z Cieszyńskiego Śląska. Termin, „narodowiec“ występuje tu dla wskazania zasięgu więzi społecznej, w której ktoś pragnie uczestniczyć. Ale „narodowiec“ nie jest tu równoznaczny z terminem „członek zbiorowości narodowej“, tzn. w tym wypadku z terminem „Polak“, tak jak się ten termin rozumie w Warszawie lub Krakowie. Poza takimi terenami, gdzie w grupach regionalnych ścierają się różne ideologie narodowe, uczestnicy zbiorowości narodowej — przynajmniej wtedy, gdy nie są socjologami — nie pojmują swego uczestnictwa w tej zbiorowości tak po renanowsku. Gdy się kwalifikuje kogoś jako Polaka, Francuza czy Włocha, nie pytamy się normalnie o jego ideologię. Ideologia jest traktowana jako kryterium narodowości raczej w sytuacjach wyjątkowych, np. wtedy, gdy mamy do czynienia z procesami wynaradawiania.

Wróćmy do Giełczyña. Jak mówiliśmy, słowo „Polok“, jeżeli dobrze wyczułem jego timbre w rozmowach z ludźmi, albo ma znaczenie „gatunkowe“, analogiczne do tego, jakie mają dla nas normalnie słowa „Francuz“, „Włoch“, „Albańczyk“ — wtedy jest używane rzeczownikowo ale stosuje się na ogół do ludzi spoza Opolszczyzny — albo też ma znaczenie zbliżone do tego, jakie słowu „narodowiec“ nadawał ów socjalista spod Cieszyna, z tą jednak różnicą, że w Cieszyńskim „narodowiec“ ma, jak się zdaje, silniejsze zabarwienie grupowe (członek pewnego zespołu, zespołu, który przeciwstawiał się innej grupie, grupie koźdoniowców) i dlatego mniej się nadaje do stopniowania, podczas kiedy „Polok“ na Śląsku Opolskim w tym drugim znaczeniu jest kwalifikacją bardziej indywidualną, używany bywa z przymiotnikami kwantytatywnymi polega stopniowaniu i ma wyraźnie przymiotnikowy charakter.

Oczywiście przymiotnikowe znaczenie słowa „Polok“ jest pewną funkcją znaczenia rzeczownikowego: „wielkim Polokiem“ jest ten, kto poczuwa się do solidarności z tamtymi „Polokami“ z za dawnego kordonu i kto dla tej solidarności gotów jest ponieść różne ofiary.

Konserwatywny obyczaj a postawa ideologiczna

Podział miejscowych Polaków na trzy „sorty“ wedle koncepcji mego gospodarza, to klasyfikacja ze względu na stopień manifestowania polskości, klasyfikacja bihewiorystyczna. Stopień i sposób manifestowania polskości w tamtych warunkach zależy od roli, jaką w czyjejś świadomości

mości odgrywają sprawy narodowe, ale zależy także od innych czynników, takich jak niezależność ekonomiczna, osobista odwaga, poczucie osobistej godności.

Jeżeli interesują nas postawy społeczne, które się w zachowaniu tych ludzi i w rozmowach z nimi objawiają, jeżeli interesuje nas zagadnienie więzi narodowej, i więzi regionalnej, wypadnie nam rozróżnić na terenie Gielczyna i wsi okolicznych dwie kategorie polskości. To nie są różnice stopnia, tu wchodzi w grę różne postawy społeczne. Dlatego można tu mówić o polskości w dwóch różnych znaczeniach: o polskości w sensie etnicznym i o polskości w sensie ideologicznym.

Wspominałem o polaryzacji postaw narodowych po plebiscycie. Materiały, które posiadam są zbyt szczupłe, abym mógł stwierdzić, w jakiej mierze polaryzacja owa jest wynikiem klęski plebiscytowej i czy termin „polaryzacja“ nie sugeruje zbyt ostrego — w porównaniu z rzeczywistością — podziału. Wydaje się jednak, że warunki życia na Opolszczyźnie od czasu podziału Śląska były tego rodzaju, że świadome kultywowanie polskości, które przed pierwszą wojną światową nie musiało nikomu nadawać jaskrawego piętna, chociażby było czymś więcej niż przywiązaniem do swojskich tradycji, obecnie ujawniało wyraźną postawę ideologiczną. Decydowała ona o uczuciowym stosunku do krwi przelanej za polską sprawę w powstaniu, decydowała o stosunku do niepodległego państwa polskiego, stosunku, który obywatela Rzeszy mógł zbliżyć ku granicom zbrodni stanu; przede wszystkim zaś była postawą aktywną, postawą ludzi, którzy szli przeciw prądowi i — o ile nie mieli zamiaru emigrować do Polski — przeciw wskazówkom rozsądku. Odcinała się tedy ostro od postawy tych wszystkich, dla których przywiązanie do swojskich tradycji było raczej wynikiem konserwatywnej bierności.

Ze odrębność ta była wyraźnie odczuwana, świadczy związana z ową ideologiczną polskością nazwa „wielkich Polaków“. Nazwa ta, z którą w Gielczynie spotykałem się bardzo często, była przyjmowana z dumą przez samych wielkich Polaków, a stosowana podobno niekiedy jako wyzwisko przez Niemców („Grosspole“).

- „Pień polskości“

Grupa tych, dla których polskość była sprawą ideologii, czasem sprawą „zadania życiowego“, a w każdym razie sferą związaną z poczuciem osobistej wartości i którzy nie opuścili Opolszczyzny po podziale Śląska, nie była liczna. W rozmowach podawano mi kilkanaście kon-

kretnych nazwisk „wielkich Polaków“ spośród aktualnych mieszkańców Giełczyna. Szkoła polska, jak widzieliśmy, w r. 1929 liczyła 21 dzieci na 597 dzieci w szkołach niemieckich (rok 1929 można uważać za dość miarodajny dla oceny postaw narodowych, gdyż jest oddalony już o kilka lat od burzliwych czasów plebiscytu, a jeszcze jest oddalony o parę lat od objęcia władzy przez Hitlera). Liczbę uczniów Giełczyna, którzy studiowali w polskim gimnazjum w Bytomiu¹⁾ w ciągu kilkunastu lat istnienia tej szkoły podawano mi na 20 mniej więcej. W Związku Polaków i w Stowarzyszeniu Młodzieży w okresach, kiedy uczestnictwo nie pociągało żadnych niebezpieczeństw, część członków brała zapewne udział ze względów towarzyskich (w karczmie, spalonej podczas wojny, odbywały się polskie zabawy). Gdybyśmy mogli ustalić liczbę aktywnych i trwałych członków tych organizacji, prawdopodobnie nie wprowadziłoby to większej zmiany do naszego obrazu.

Sądzę, że liczba 21 dzieci może być liczbą orientacyjną: wśród tych dzieci, oczywiście, są bracia i siostry, co zmniejsza liczbę rodzin posyłających dzieci do polskiej szkoły. Ale za to wśród wielkich Polaków są tacy, którzy w r. 1929 nie mieli dzieci w wieku szkolnym. W sąsiedniej, mniejszej znacznie wsi, tej, która nie mogła się zdobyć na polską szkołę, — wedle informacji uzyskanych przez p. Strzeleckiego — trzech tylko gospodarzy nie wywiesiło w czasie wojny hitlerowskiej flagi. (Po upadku Francji w r. 1940 żona jednego z nich załamała się i kupiła flagę, ale jej nie wywiesiła).

„Pień polskości“, jak się wyrażał mój gospodarz, którego nazwiemy Marczykiem, stanowiło w Giełczynie kilku ludzi, czy też kilka rodzin. Do tych ludzi należał przede wszystkim sam Marczyk. Ma on ładną, dobrze wyposażoną w urządzenia gospodarskie zagrodę na przysiółku, o dobry kilometr od wsi. Posiada 15 ha ziemi w 8-miu kawałkach. Ponieważ już jego ojciec a później on sam wykupywał lepsze kawałki, nie zgodziłby się na komasację. Parterowy dom murowany budzi skojarzenia z chatą Maćka Dobrzyńskiego ze względu na ślady kul z czasów powstania, kiedy był ostrzelany przez „orgeszów“²⁾. Córki parokrotnie chciały te ślady zalepić, ale ojciec pielęgnuje je jako cenną pamiątkę; nie pozwolił też wyjąć kuli, która tkwi dotąd we framudze okiennej. W ogrodzie stoi krzyż z polskim napisem „Pod Twoją Obronę“ i z obrazem Matki Boskiej

1) Jedno z dwóch — jeżeli się nie mylę — polskich gimnazjów na wschodnim pograniczu Prus w latach międzywojennych. (Drugie gimnazjum założono w Kwidzynie).

2) Organizacja kapitana Eschericka.

Częstochowskiej. Podczas wojny Niemcy parokrotnie kazali polski napis usunąć. Gospodarz odpowiadał, że figurę wzniosł na pamiątkę szczęśliwego powrotu z wojny, że otrzymał z Kreisamtu pozwolenie na napis i że tego napisu nie usunie; jeżeli władze chcą, niech usuną same. Żandarm stwierdzał, że prawa nakazującego usuwanie napisów polskich na figurach istotnie jeszcze nie ma, ale że byłoby lepiej dla gospodarza, gdyby napis zamazał.

Wspominam o tych szczegółach, ponieważ zachowanie się mieszkańców w stosunku do polskich napisów w ich domostwach i ogrodach było symptomatyczne. Niektórzy bojąc się zostawić polskie napisy, a nie chcąc ich zamazywać zaklejali je papierem lub zasłaniali deskami. Co prawda, ponieważ napisy, o które idzie, były na ogół treści religijnej, przeto opór przeciw ich zamazywaniu mógł wynikać niekoniecznie z motywów narodowych. Toż samo dotyczy przechowywania obrazów Matki Boskiej Częstochowskiej, która była przez hitlerowców prześladowana podwójnie: ze względów rasowych jako „die Schwarze Madonna“ i ze względów narodowościowych jako Madonna z Częstochowy.

Marczyk był założycielem i opiekunem szkoły polskiej w Gielczynie, założycielem „Rolnika“, Banku Rolniczego i gazety „Nowiny“, która wychodziła w Opolu do r. 1938. Zaznacza, że te rzekomo apolityczne organizacje (Rolnik, Bank Rolniczy) miały polityczny charakter, a pokazując mi fotografię członków rady nadzorczej owego banku stwierdzał, że tylko trzech członków rady nie siedziało w lagrze.

W czasach hitlerowskich, nawet w czasie wojny, gospodarz mój nigdy na hitlerowskie pozdrowienia nie opowiedział „Heil Hitler“. Toż samo mówi o innych wielkich Polakach. Nie podnosił też nigdy ręki po hitlerowski, nawet na zebraniach publicznych w czasie wojny. Raz tylko na zebraniu sąsiad wyciągnął mu rękę z kieszeni i podniósł do połowy. Brat Marczyka w czasie wojny został wywieziony do Oświęcimia i tam zginął. Sam Marczyk też był poważnie zagrożony. Pomimo to przechowywał przez kilka tygodni młodego człowieka z tej samej wsi, studenta Uniwersytetu Jagiellońskiego, ściganego przez Gestapo. „On się bał i my się bali“ — mówi żona Marczyka — „ale co było robić!“ Miałem sposobność być świadkiem wzruszającego w swej prostocie spotkania owego Pietra, obecnie już doktora filozofii, z rodziną Marczyków.

Przed samą wojną Marczyk miał sprawę w Sondergericht („Hitler już przed wojną wyonacył takie sądy“). Podał go do sądu niejaki M., „partajczłowiek, kłak, zaprzaniec“. Szło o to, czy w przeszłości Śląsk na-

leżał do Polski czy tylko do Czechów, tudzież o to, że mój gospodarz źle się wyrażał o zarządzeniach hitlerowskich w sprawach Erbhoffów (zagród dziedzicznych). Do sporu o Śląsk Marczyk przyznał się: powiedział, że o przeszłości polskiej Śląska uczył go niemiecki nauczyciel. Do krytyki Erbhoffu się nie przyznał. „Sądca“ go uwolnił.

Marczyk miał ośmioro dzieci, więc dostarczał uczniów polskiej szkole przez cały czas jej trwania. Tylko najmłodsza córka, która również zaczęła naukę w szkole polskiej, uczęszczała po jej zamknięciu do szkoły niemieckiej i w czasie wojny musiała należeć do BDM.¹⁾ Nie chodziła jednak na zbiórki i ojciec płacił „sztrafę“. Sztrafy były wysokie: z początku 5 mk, później 20 i 50 mk.

Do najbardziej zagorzałych wielkich Polaków należy miejscowy mistrz kowalski, starzec 77-letni o niemieckim nazwisku, z dość rozrodzonej w Giełczynie familii, która wydała kilku wielkich Polaków.

Za młodych lat odbył czeladniczą podróż po Niemczech, pracował w Hamburgu i Magdeburgu, ale wrócił w swoje strony jako zagorzały Polak. Jego ówczesny majster Niemiec, szykanował go za jego polskość i spolszczając ironicznie jego niemieckie nazwisko nazywał go „Franczy-szszek Mąka“. W czasie plebiscytu i powstania nasz kowal brał czynny udział w akcji, był mówcą plebiscytowym i postrzelił pewnego Niemca, kiedy „orgesze“ planowali zamach na miejscowego księdza. Dostał za to dwa lata więzienia, które mu darowano na skutek amnestii.

Pomimo niemieckiego pochodzenia kowal jest przekonany, że narodowość przyjmuje się w łonie matki i ma pogardę dla jednego z krewniaków, który się zmieniał jak wiatr wieje. Germanów nie znosi. Nazywa ich „kłakami“. Wie, że religia nakazuje wszystkich miłować, ale on z Germanami „dobrze żyć nie poredzi“. Wewnątrz kuźni widnieje napis: „Poże, błogosław moją pracę“. Tego napisu nie pozwolił kowal zamazać w czasie wojny. A gdyby ktoś z Niemców ośmielił się tknąć tego napisu „to on by był pierwszy, a ja za nim“ — mówi starzec potrząsając groźnie młotem. Na zewnątrz kuźni natomiast widnieje zamazany dziś szyld: „Schmiedemeister“. Podobno przed wojną był tam napis „Mistrz kowalski“, który został zamazany przez Niemców. Nie wiem, w jaki sposób zjawił się na jego miejscu „Schmiedemeister“. Niewątpliwie, napis na szyldzie nie był dla kowala sprawą honoru, tak jak apostrofa do Boga wewnątrz kuźni.

1) Bund Deutscher Mädel.

Znajomi powiadają, że gdy w czasach hitlerowskich ktoś wszedł do kuźni z hitlerowskim pozdrowieniem, kowal spluwał i nie przyjmował roboty. Sam nigdy nie powiedział „Heil Hitler“, co także było sprawą honoru. Niemcy wiedzieli o patriotyzmie polskim kowala, ale zostawili go w spokoju ze względu na podeszły wiek. Syn kowala natomiast był wywieziony do lagra w Oranienburgu.

W czasie wojny kuźnia spełniała doniosłą rolę społeczną: tutaj schodziły się „wielkie Poloki“ aby się pokrzepić, tu powtarzano sobie wzajem nowiny z zagranicznego radia. Kowal twierdzi, że nie zwątpił nigdy o zwycięstwie nad Niemcami, nawet po upadku Francji. Syn po wyjściu z Oranienburga przysłał mu w czasie wojny z Berlina prorocstwo wierszem o krzyżu złamanym, o młocie i o wielkiej wodzie, toż samo, które w owym czasie obiegało Warszawę. Kowal przechowywał również prorocтва ks. Marka Karmelity o wspaniałej przyszłości Polski. „Dzieci będą płakać: matko, czemuś na niemczyła“ — tak podobno głosiło to prorocтво. Zacytował je kowal niemieckiemu kapelanowi po wyjściu Niemców.

Największe wyrobienie spośród tych kilku ludzi, którzy wedle mego gospodarza stanowią tam „pień polskości“ wykazuje zamożny gospodarz, dla którego przyjmijmy kryptonim „Biedronka“. Był prezesem Związku Polaków i członkiem komisji rozjemczej polsko-niemieckiej. Ma za sobą liczne podróże po Polsce: zna Poznań, Kraków, Warszawę. Córka jego zwiedziła nawet Lwów i Tarnopol. Po plebiscycie myślał o przeniesieniu się do Polski razem ze swym zięciem, który również należy do tych, co stanowią „pień polskości“. Szukał zagrody do kupienia w Poznańskim i pod Brześciem. „Widocznie było jednak przeznaczone“, aby ostał na Śląsku.

Zięć Biedronki, nazwijmy go „Górnym“, w czasie powstań śląskich ukrywał w swojej stodole magazyn broni i amunicji powstańców. Na wiosnę r. 1939 był przez Niemców wysiedlony ze Śląska, a po wybuchu wojny przesiedział w więzieniu w Środzie 19 niedziel. Na przesłuchaniu bili w szczękę. Podczas wojny nigdy w domu nie mówił z dziećmi po niemiecku, chociaż ludzie straszili, że hitlerowcy podsłuchują pod oknami. Synowie jego należeli do ostatniej gromadki uczniów w polskiej szkole razem z córką Marczyka. Córka Górnego także skończyła polską szkołę w Giełczynie a obecnie zapisała się na kurs wstępny liceum pedagogicznego w Opolu. Mówi po polsku jak warszawianka, przy czym twierdzi, że się tego nauczyła w Giełczynie, dzięki szkole i lekturze. Co prawda i Bie-

dronka i Górny wskutek dawnych kontaktów z Polską rozmawiają z mną językiem, który stanowi przejście od gwary do języka literackiego. Córka Górnego mówi, że z łatwością przerzuca się z polskiego języka literackiego w gwarę lub w język niemiecki.

Wśród młodego pokolenia jest więcej takich trójjęzycznych osób: poznałem w każdym razie dwie młode nauczycielki z miejscowej patriotycznej rodziny, cieszącej się przynajmniej od lat stu szacunkiem w Giełczynie, które mówią poprawną polszczyzną. Ale to już jest wypadek innego rodzaju, ponieważ obie dziewczyny kształciły się w Polsce. Natomiast córki Marczyka, które kończyły szkołę polską, mówią tylko gwarą miejscową lub językiem niemieckim.

Marczyk stale akcentował, że wszyscy zamożniejsi gospodarze to „wielkie Poloki“. I odwrotnie: większość wielkich Poloków to zamożniejsi gospodarze. Spośród gospodarzy jeden tylko dał się wciągnąć do „partai“ Hitlera: taki, który miał długi i mógł stracić gospodarstwo. Dali mu ulgi, gdy wstąpił do partai, i ułatwili zarobki.

Gospodarze patriotów stanowią wyraźną grupę. Spaja ich ideologia i honor wielkiego Polaka, łączy również przeważnie więź pokrewieństwa lub powinowactwa. „Wielcy Polocy — mówi Marczyk — trzymali się w kupie i spokrewniali ze sobą“. Jakoż imiennie wyliczał mi koligacje łączące 8 czy 9 rodzin. Niektóre z tych patriotycznych koligacji wybiegają poza Giełczyn. Górny jest szwagrem „pułkownika“ powstańców, który wyprowadził oddział powstańczy z Giełczyna. Marczyk jest spokrewniony ze znaną patriotyczną rodziną z sąsiedniej wsi, rodziną, która wydała kilku wybitnych ludzi, a jeden z nich, lekarz i działacz polski w Berlinie, został w sierpniu 1939 r. przed dniem św. Rocha zamordowany tam przez Niemców i wrzucony do Sprewy. To był wedle Marczyka początek wojny. (Imieniem owego lekarza jest dziś nazwana jedna z ulic w Opolu). Jedna z córek Marczyka była zaręczona z synem słynnego na całą okolicę patrioty ze wsi oddalonej o 10 km od Giełczyna. Z rodziną tego patrioty spokrewniony jest Górny.

Niektórzy z gospodarzy patriotów zbliżeni są do siebie nawet topograficznie. Trzy sąsiednie zagrody na przysiółku, gdzie jest zagroda Marczyka, wydały sześciu „studentów“ bytomskiego gimnazjum.

W Zagłębiu Górnośląskim, tak samo jak na Śląsku Cieszyńskim polski ruch narodowy pod panowaniem pruskim lub austriackim znajdował podniecie w antagonizmie klasowym: polski robotnik miał nad sobą nie-

mieckiego przemysłowca lub obszarnika, niemieckich majstrów lub ekonomów. Wyzwoleńcze tendencje narodowe łączyły się z walką o wyzwolenie świata pracy, działacze socjalistyczni kierowali ruchem narodowym, a polska gazeta socjalistyczna była równocześnie organem patriotów.

W chłopskich wsiach północnej Opolszczyzny po podziale Śląska było inaczej. Polski proletariat był tu zbyt słaby, aby mógł prowadzić samodzielną akcję. Stając się socjalistą lub komunistą robotnik polski przyjmował program socjalistycznej lub komunistycznej partii niemieckiej, dopóki te partie istniały. Natomiast ideologię narodową pielęgnowała tu przede wszystkim grupa ludzi ekonomicznie niezależnych, spokrewnionych z inteligentami, których wpływ docierał na wieś aż do wojny, kiedy większość opolskich inteligentów znalazła się albo za granicą albo w obozach koncentracyjnych. Dla tej grupy polski patriotyzm nie wiązał się z antagonizmem klasowym, a jeżeli i w tym patriotyzmie można szukać klasowych elementów, to już tylko ze względu na to, że godność „wielkiego Poloka“ w wąskim środowisku swoich dodawała splendoru stanowi gospodarskiemu. Polski patriotyzm w Giełczynie miał charakter luksusowy.

Czy jednak ideologia wielkich Poloków w czasach poplebiscytowych nie sięgała poza krąg zamożniejszych gospodarzy? Marczyk przyznaje, że bywali dobrzy Polacy i wśród małorolnych lub robotników. Nazwiskiem jednego z zagrodników, sołtysa, który był „sprawiedliwym, dobrym Polakiem“, ochrzczona została po wyzwoleniu jedna z ulic Giełczyna. Ale, jak stwierdziłem później, ów sołtys posiadał, bądź co bądź, przeszło 4 ha ziemi, podczas gdy większość zagrodników to małorolni, których grunt nie przekraczał dwóch hektarów. Poznałem jednego starego bezrolnego bartnika, który był „wielkim Polakiem“, a poza swoimi pszczołami trudnił się handlem i naprawą maszyn, ale ów starzec pracował za młodu w Opolu u Koraszewskiego i prawdopodobnie tej okoliczności zawdzięcza swój polski patriotyzm. Szkołę polską, jak twierdzi Marczyk, utrzymywało głównie kilka rodzin gospodarskich posiadających większą liczbę dzieci. Lista nazwisk uczniów w ostatnich latach istnienia szkoły obejmuje wyłącznie nazwiska dzieci zamożniejszych gospodarzy. Ale Marczyk zaznacza, że w toku owych kilkunastu lat trafiali się i drobni rolnicy lub robotnicy, którzy posyłałi dzieci do polskiej szkoły. Za szkołą polską żywo agitował pewien mechanik. Co prawda agitacja nie była bardzo skuteczna, gdyż mechanik był bezdzietny, więc mu ludzie odpowiadali: „posyłać do polskiej szkoły swoje dzieci“.

Na podstawie informacji, które udało mi się zebrać w Gielczynie, można wnosić, że poszczególne przykłady patriotów robotników nie zmieniają faktu, że ideologia „wielkich Poloków“ w owym okresie koncentrowała się w grupie gospodarskiej, do której należał także przez koligacje, znajomości i niezależne stanowisko w swej kuźni ów mistrz kowalski, spluwający na hitlerowskie pozdrowienia. Na wszelki wypadek przypominam zastrzeżenie, iż obracałem się głównie w sferze znajomych mego gospodarza. Ale p. Strzelecki, który jeździł w tamte okolice trzykrotnie w r. 1945 i 1946, ludzi o opinii wielkich Polaków spotykał również prawie wyłącznie w kręgu gospodarzy.

Zbiorowość swojaków

Polskość jako postawa ideologiczna, jako świadomy kult pewnych wartości wynikający z przeświadczenia o uczestnictwie w zbiorowości narodowej, postawa aktywna wymagająca przewyżczenia oporów, jakie za czasów niemieckich nasuwały warunki życia, postawa w pewnym sensie luksusowa — jest tedy na terenie stanowiącym przedmiot naszych badań udziałem nielicznej grupy, wśród których część, może dość znaczną część stanowią niedoszli emigranci do Polski: ludzie, którzy po podziale Śląska nosili się z zamiarem przesiedlenia na teren Państwa Polskiego i którym się ten zamiar nie udał albo ze względów ekonomicznych, albo dlatego, że przywiązanie do swoich stron i swoich warunków życia, a w pewnych wypadkach może także poczucie solidarności z własną gromadą, odniosły zwycięstwo nad atrakcyjnością polskiego obywatelstwa.

Ci ludzie stanowią dość zwartą grupę, związaną świadomością wspólniej ideologii i wspólnego uczestnictwa w dalekiej zbiorowości narodowej a niegdyś związaną także organizacyjnie (Związek Polaków, szkoła polska, polski komitet wyborczy, polskie organizacje rolnicze itp.). Równocześnie należą do zbiorowości szerszej znacznie niż grupa wielkich Polaków a bardziej bliskiej i konkretnej niż abstrakcyjna zbiorowość narodowa, do zbiorowości, z którą są związani węzłami tradycji i współżycia.

Jest to szeroka zbiorowość ludzi miejscowych, których polskość nie jest polszością ideologiczną lecz obyczajową. Inaczej mówiąc, jest to gromada, gdzie elementy kulturowe polszości w życiu, w zachowaniu się nie są pielęgnowane jako wyraz przekonania o łączności z polskim narodem lecz są składnikami miejscowego folkloru, składnikami swojskiej

kultury wyodrębniającej tę zbiorowość od Niemców. Odczuwanie odrębności kulturowej względem Niemców, a nawet świadomość etnicznej polskości, nie pociąga jeszcze za sobą włączenia się w polską zbiorowość narodową. Polacy byli daleko, za kordonem; ci Polacy, w stosunku do których wyraz „Polak“ miał sens rzeczownikowy. A jeżeli się zdarzyła okazja zetknięcia z nimi, można było i w stosunku do nich stwierdzić swą kulturową odrębność. Wystąpiła ona szczególnie jaskrawo w stosunku do przybyszów z Polski w pierwszych miesiącach po wojnie.

Kobieta 70-letnia z osady położonej o kilka kilometrów od Giełczy-na, wracając po niesporach do domu tak mi sformułowała swoje stanowisko narodowe w toku rozmowy o obecnych stosunkach: „Niech my są Poloki, niech my są Niemce, niech my są Ruski, niech my są Pruski, żeby my tylko mogli pracować, żeby był spokój, żeby było co jeść, żeby był cukier dla dzieci“.

Wypowiedzi tej nie można uważać za typową. Przede wszystkim stara kobieta, podniecona rozmową o obecnych stosunkach, w których wiele ucierpiała od „Rusów“ i od „Poloków“ nie sądziła, aby ten indyferentyzm narodowy mógł zrobić złe wrażenie na obcym przybyszu. Inni mieszkańcy tych okolic nigdy by sobie nie pozwolili wobec kogoś obcego — zwłaszcza w okresie weryfikowania polskości — na manifestowanie takiego praktycznego stanowiska. Następnie, kobieta owa pochodziła z osady o ludności mieszanej, ale w większości bodaj niemieckiej, gdzie nie było, o ile mi wiadomo, w okresie międzywojennym takiego ruchu narodowego, jaki, bądź co bądź istniał w Giełczyźnie dzięki aktywnej grupie wielkich Polaków. Grupa ta wywierała wpływ na otoczenie. Coś z tej ideologicznej polskości promieniowało na tych, których Marczyk zaliczał do drugiego a nawet i trzeciego sortu Polaków. Takie promieniowanie nie docierało już zapewne do owej na wpół zniemczonej osady w lesie, z której pochodziła tamta kobieta.

Niemniej przeto wypowiedź owej kobiety jest charakterystyczna. Jest wyrazem poglądu, który — jak mi się zdaje — dominuje poza kręgiem „wielkich Poloków“. Poglądu, który można by nazwać *n o m i n a l i z m e m w s p r a w a c h n a r o d o w y c h*. Realną więzią dla takich „nominalistów“ jest więź łącząca swojaków, tych z tutejszego Śląska. To zaś, do jakiej się ich zalicza narodowości, zależy od sił politycznych, które się ścierają gdzieś nad ich głowami i na które oni wpływu nie mają. Wszak Hitler w czasie wojny wszystkich Ślązaków uznał za Niemców — z wyjątkiem tych, których uznał za zdrajców narodu nie-

mieckiego — i gdyby zwyciężył, trzeba by się z tym pogodzić. Jeżeli znajomość głównych etapów dziejów Śląska miała jakiś wpływ na postawę ideową Górnoślązaków, to chyba także sprzyjała owemu nominalizmowi: Śląsk był przecie kiedyś polski, później czeski, potem przez długi czas austriacki, następnie, pruski, wreszcie obecnie znowu polski. „Jak to teraz będzie — pytała mię nieśmiało kobieta z przysiółka nad samą Odrą — cy będziemy pod Ruskim, pod Polokiem, cy jako inacy?”

Dwa języki.

Wobec tego, że polityczny związek Śląska z Polską w przeszłości to sprawa zamierzchłego średniowiecza, a jego kulturalna łączność z Polską w ostatnich stuleciach była bardzo słaba (publikacje polskie, jakie się rozchodziły po Śląsku do pierwszej wojny światowej, były w ogromnej większości publikacjami pochodzenia śląskiego), przeto głównym świadectwem etnicznej polskości Śląska Górnego pozostał język. Kryterium językowe, oparte na autorytetach czeskich językoznawców, było tym argumentem, który skutecznie przeciwstawiano wysuwany od czasu do czasu historycznym pretensjom czeskim do tego kraju. Język był tym czynnikiem, który w świadomości Ślązaka łączył go z polskością: podczas spisów ludności przed pierwszą wojną światową 1.200.000 Ślązaków podawało jako język macierzysty język polski. Ślązak, nawet jeżeli nie należał do Związku Polaków i nie głosował na polską listę, zdawał sobie sprawę, że czyta polską gazetę i modli się z polskiej książki do nabożeństwa i że język tych druków śląskich bardzo niewiele się różni od języka książek pochodzących zza kordonu, od języka Orzeszkowej, Sienkiewicza i Prusa, których dzieła w okresie międzywojennym rozchodziły się po Śląsku w dość dużej liczbie egzemplarzy.

Ale polska gwara nie była jedynym językiem, w którym się wyrażały myśli mieszkańca Opolszczyzny i który stanowił narzędzie porozumienia w życiu praktycznym. Pokolenie, w którym kobiety nie znały języka niemieckiego a mężczyźni w wielu wypadkach znali zaledwie słabo, pokolenie, które przeżyło swe dzieciństwo przed wojną prusko-francuską z r. 1870, już wymarło. Dla kultury tych, którzy żyją, charakterystyczna była nie tylko gwara, ale gwara polska i niemiecka w różnych proporcjach, zależnie od okoliczności i tematu.

Proporcje zmieniają się w zależności od wieku. Stare pokolenie mówi piękną gwara z szlachetnymi archaizmami dźwięcznymi niekiedy Re-

jem lub Skargą. Naleciałości niemieckie zjawiają się wtedy, gdy się mówi o sprawach urzędowych, technicznych, czasem i handlowych. Ale z władaniem polszczyzną w piśmie jest gorzej: chodzili wszak do szkoły w czasach Kulturkampfu. Oto dla przykładu fragmenty tekstów z wiosny r. 1945, które miałem w ręku, tekstów pisanych przez starszych ludzi:

„Wykas“

Poschwiacamem (sic!) tu ze Josef Dudek w partai Hitlera nie beł.

„Wykas przedania pascheki pszół oddawam przedaino bartnikowi pszół i narzendzia do tego nalezonce za 1 centnar miodu albo mnie albo mojen Schwiger Okuń lub mojej zonie Gwiozda jako zapłaten dać powinien“.

U młodego pokolenia — poza rodzinami „wielkich Poloków“ — powiększa się coraz bardziej ilość słów i zwrotów niemieckich. Nawet córki „wielkiego Poloka“, gdy rozmawiają między sobą, mówią, że „cukier w Opolu jest po hundert achtzig dwa funty“, albo że „już czas aufstehen“. Małe dzieci wreszcie nie mówią po polsku zupełnie z wyjątkiem dzieci wielkich Polaków, którzy nie dali się zastraszyć podczas wojny oświadczeniom, że kto mówi po polsku ten jest zdrajcą narodu niemieckiego. Proporcja niemczyzny w gwarze polskiej zależy również od miejscowości. Kobiety wracające z nieszpórów do owej osady w lesie, o której wspominałem, przerzucają się ciągle z gwary polskiej w niemiecki, a gwara ich jest naszpikowana niemieckimi zwrotami jak szesnastowieczne makaronizmy łaciną. Słyszcy się wśród polskich słów „Nabend“, „Mahlzeit“, „Iść bez wald“, „Zapłacić sechs und zwanzig“.

Wzrastająca proporcja niemczyzny w gwarze jest objawem wzrastania roli niemczyzny w życiu tych ludzi; powiększała się liczba sytuacji, w których trzeba było mówić po niemiecku: wojsko, urzędy, szkoła, miejsce pracy, wreszcie podczas wojny kościół i wszelkie miejsca publiczne. Powiększyły się odcinki czasu, w których żyło się językiem niemieckim, a nie było społecznych warunków po temu, aby ostro separować te odcinki od życia prywatnego, aby prowadzić podwójne życie: polskie i niemieckie. Takie podwójne życie mogli prowadzić w pewnej mierze ci, dla których polskość była sprawą ideologii. Dla innych spośród młodszego pokolenia język był wprawdzie także znamieniem odrębności grupo-

wej; różnili się oni wszakże od Niemców nie brakiem niemczyzny, lecz tym, że używali także i gwary. Gwara polska wyróżniała ich nie jako język, którym mówi się stale, lecz jako język, który zna się z domu. Proporcja niemczyzny nie była rzeczą ważną, skoro w tylu sytuacjach mówiło się po niemiecku i skoro swojacy w większym lub mniejszym stopniu używali niemieckich zwrotów, gdy było wygodniej.

Ta dwujęzyczność jest w równej mierze pozbawiona ideologicznego znaczenia jak dwujęzyczność emigrantów we Francji lub w Stanach Zjednoczonych, tzn. tam, gdzie się żyje w otoczeniu obcojęzycznym, gdzie w ciągu dnia wskutek nawyku używa się we własnym rodzinnym środowisku zwrotów obcojęzycznych, albo nawet przechodzi się na przemian z jednego języka w drugi, nie uważając bynajmniej, aby się przez to dokonywało jakiegoś aktu wyrzeczenia lub pokalania rodzinnej mowy. Wieloletni emigrant polski we Francji mógł w rozmowie z żoną używać zwrotów francuskich bez uszczerbku dla swego patriotyzmu. I tak samo dorosłe córki wielkiego Polaka mogły między sobą używać zwrotów niemieckich bez uszczerbku dla swojej polskości. Tym bardziej dotyczy to ludzi, którzy nie byli wielkimi Polakami, ale należeli do tej śląskiej zbiorowości, dla której polska mowa była jednym z czynników więzi.

Obcy język, którym mówią także i swoi, nabiera w pewnej mierze cech swojskości. Zwłaszcza jako domieszka. Dyskwalifikuje ideologicznie dopiero całkowite zastąpienie języka macierzystego przez ów obcy język. Przestaje być swojakiem ktoś, kto nie rozumie macierzystego języka danej zbiorowości. Z tego powodu używanie obcego języka w domu może się stać odstępstwem nie ze względu na sam fakt posługiwania się tym językiem, ale ze względu na skutki, jakie to może mieć dla dzieci. I znowu pod tym względem sytuacja polskiej etnicznie ludności w opolskim przypomina sytuację długoletnich emigrantów na obczyźnie. Nie należy tedy tych stosunków językowych przymierzać do postaw ludności w takich grupach, gdzie wysunięte zostało hasło walki z obcym językiem, jak to miało miejsce w Kongresówce, gdzie np. kobiety z inteligencji udawały wobec Rosjan, że nie rozumieją języka rosyjskiego i w razie potrzeby posługiwały się francuszczyzną. Na Śląsku po plebiscycie nikt takiego hasła nie wysuwał. Wielcy Polacy głosili postulat pielęgnowania polskiej mowy, ale nikt nie propagował jej wyłączności, chociażby dlatego, że takie hasło w tamtejszych warunkach byłoby zgoła nierealne.

Jest wszakże jedna dziedzina, gdzie było rzeczą ideologicznie ważną na Opolszczyźnie, jakiego się języka używa. Było rzeczą ważną nie

tylko dla wielkich Polaków ale dla całej zbiorowości „etnicznych“ Polaków. Tą dziedziną jest religia. Kazania, spowiedź, śpiewy religijne. Tu język polski trzymał się najdłużej. Nawet niemieccy księża uczyli się polskiego, aby móc w tym języku pełnić swoje obowiązki. W kościele giełczyńskim na nagrobku proboszcza Niemca Kittelmana (1911), który czytał Ewangelię po polsku, miał polskie kazania i słuchał po polsku spowiedzi, pod niemieckim napisem wyryto polskie słowa: „Mili parafianie, módlcie się za swego proboszcza“. A kiedy w czasie wojny usunięto język polski z kościoła, kiedy zabroniono polskich śpiewów, kobiety ze Stowarzyszenia Matek Chrześcijańskich zaczęły się schodzić konspiracyjnie, aby śpiewać po polsku. Nie z miłości do Polski, tylko z miłości do swojej religii i przywiązania do swych pieśni, których umiały wiele i do których przyzwyczyły się od dziecka. Polski język był elementem ich katolicyzmu. Na tym terenie nabierał on charakteru rytualnego, zgoła niezależnego od faktu, iż w kościele katolickim językiem rytualnym jest łacina. Zmiana języka w stosunkach ze światem nadprzyrodzonym mogła wpłynąć na skuteczność obrzędów. Modlitwy w innych językach mogły nie zostać wysłuchane, tak jak bywały wysłuchiwane modlitwy w języku ojców. Wiara ojców była złączona z językiem ojców. O związku pomiędzy religią i językiem pisał Stefan Czarnowski w studium o kulturze religijnej wiejskiego ludu polskiego. Włościanin polski — wedle Czarnowskiego — „wie wprawdzie, że są inne narody katolickie, uważa je jednak za nie w tym samym, co on, stopniu prawowierne, w każdym razie za mniej ściśle zespolone z Kościołem, za mieszczące się bliżej peryferii wspólnoty katolickiej, za bardziej oddalone od Boga i świętych Pańskich, których rodowitym językiem jest w jego przekonaniu język polski“¹⁾. Stąd zażarte walki staczane przez Polaków z klerem irlandzkim w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej²⁾.

Niemcy zdawali sobie sprawę, że dzięki tym rytualnym postawom kościół jest ostoją polskiego języka na Śląsku. Próbowali przewyciężyć to subtelniejszymi środkami, zanim zastosowali brutalny przymus. Oto przed wojną — jak mi opowiadał jeden z mieszkańców Giełczyna — jeździły po wsiach samochody, z których ogłaszano, że się wymienia bezpłatnie stare książki do nabożeństwa na nowe w pięknych oprawach. Ludzie nie orientowali się zrazu, że zamiana książek zniszczonych na

1) Stefan Czarnowski: *Kultura*, wyd. II, 1946, str. 126.

2) *Ibid.*

nowe była w gruncie rzeczy zamianą ksiązek polskich na niemieckie, co miało pociągnąć za sobą rozmowę z Bogiem po niemiecku ¹⁾.

Ten rytualny charakter języka w znacznie mniejszym stopniu występuje w napisach cmentarnych. Wprawdzie zanik stopniowy polskich napisów na nagrobkach w czasach hitlerowskich jest niewątpliwie wynikiem presji politycznej. *V e r b a v o l e n t, s c r i p t a m a n e n t*, a cóż dopiero słowa ryte na kamieniu. Napis był dokumentem, który mógł ktoś skompromitować nawet po latach. Ale niemieckie napisy na nagrobkach należących do polskich rodzin spotyka się i przed rokiem 1933, kiedy presji takiej na cmentarzach nie było. Na moje pytanie, skąd się te niemieckie napisy na polskich nagrobkach wówczas wzięły, odpowiadano mi: niektórzy uważali, że nagrobek niemiecki jest bardziej „fajny“. Ten sam czynnik zresztą osłabiał opór w stosunku do niemieckich ksiązek do nabożeństwa: ksiązeczka niemiecka nie godziła się z tradycją, ale była bardziej elegancka. Napotykamy się tu na nowy motyw postępowania; będziemy mieli jeszcze sposobność o nim sobie przypomnieć.

Warto zauważyć, że wśród nagrobków z lat 1937—1939, kiedy obawa przed hitlerowcami była już bardzo silna, trafiają się nagrobki bez innych słów niż imię i nazwisko: zamiast słowa „urodził się“ figuruje gwiazdka i data wyłącznie w cyfrach, zamiast „zmarł“ — krzyżyk. Żadnego napisu religijnego. Te nieliczne milczące nagrobki to już zupełnie inna sprawa: to unikanie niemczyzny nie ze względów religijnych (nagrobek bezsłowny i tak odbiega od tradycyjnych wzorów) lecz ze względów patriotycznych: to nagrobki rodzin wielkich Polaków, którzy nie chcieli, aby ktoś ich brata, siostrę czy ojca wziął kiedyś za Niemców.

Wiara ojców

Doniosłość, jaką wierni przypisują zachowaniu swego języka na terenie religii, ma swe źródło — jak widzieliśmy — w rytualnym zabarwieniu wszystkich czynności związanych z kultem religijnym, szczególnie zaś w magicznej roli słowa, roli, która zależna jest od formy słowa nie mniej niż od jego treści. Dlatego to bezpośrednią podniecię do schizmy w kościele prawosławnym w XVII wieku mogła stanowić zmiana ortografii słowa „Jezus“ i dlatego, jak wykazała praktyka Unii Brzeskiej,

¹⁾ O innych praktykach zmierzających do odebrania ludności polskiej polskich modlitewników mówi cytowany już Memoriał Związku Polaków w Niemczech z d. 2 czerwca 1938 r.

zmiana dogmatów była łatwiejszą rzeczą do przeprowadzenia w masach ludowych niż zmiana języka nabożeństw.

Ale obok troski o skuteczność praktyk religijnych wchodzi tu w grę inna jeszcze sprawa. Język lokalny unaradawia albo uregionalnia religię uniwersalistyczną, jaką jest katolicyzm. Pełni pod tym względem podobną funkcję jak narodowi lub regionalni święci patronowie. W przekonaniu chłopca polskiego „Niemiec katolik — pisał Czarnowski w cytowanym przed chwilą studium — to nie prawdziwy Niemiec; to dajczkatolik — jakiś przedziwny twór przejściowy, będący katolikiem niczym Polak, a mówiący językiem lutrów, w gruncie rzeczy istota godna politowania, której czegoś brakuje, by być katolikiem w pełnym rozumieniu tego słowa“¹⁾). Tak było np. na Mazowszu, gdzie spotkałem się z nazwą owego przejściowego tworu w bardziej zniekształconej a przez to i bardziej tajemniczej formie: „dyńckatolik“. Na Śląsku, gdzie katolik Niemiec nie był rzadkością, gdzie, co ważniejsza, zdarzał się w polskiej parafii ksiądz Niemiec zdobywający sobie uznanie parafian, jak ów Kittelman, i gdzie niemiecka lista katolicka do parlamentu zdobywała wielką liczbę głosów, nie można było uważać Niemca katolika za niezupełnie prawdziwego Niemca i za niezupełnie prawdziwego, za gorszego katolika, ale i tu można go było uważać za innego katolika, za katolika, który modli się inaczej, modli się innymi słowami, chociażby miały tę samą treść.

Katolicyzm z polską mową w kazaniach, śpiewach, modlitwie i spowiedzi stanowi własną religię zbiorowości, której uczestnikami czuła się autochtoniczna ludność Opolszczyzny. Ta własna religia stanowiła potężny czynnik więzi społecznej. Ale poza kręgiem wielkich Polaków, którzy w katolicyzmie widzieli także łącznik z narodem polskim, to nie był czynnik więzi narodowej, lecz więzi regionalnej, podczas kiedy luteraizm był w tym środowisku znamiem niemieckości: spotkałem się w Giełczynie z użyciem słowa „ewangielik“ jako eufemizmu zamiast słowa „Niemiec“ (w zwrocie: „ewangielik ale dobry człowiek“).

„Wielkie Poloki“ wiedzą, że Polska jest krajem katolickim, że ich katolicyzm jest dziedzictwem po przodkach, którzy się przeciwstawiali Niemcom („kiedy się Piasty na dolnym Śląsku zlutrzyły, to i kraj się zniemczył“), ale i dla nich katolicyzm jest przede wszystkim swojską regionalną religią. Do tego regionalnego katolicyzmu należy i kult Matki Boskiej Częstochowskiej. Odpusty w Częstochowie, na które w czasach

¹⁾ Ibid. 126 — 127.

międzywojennych na mocy Konwencji Genewskiej udawały się z Giełczyna kompanie ze zbiorowymi paszportami, odpusty, gdzie uczestniczyło się w uroczystych obrzędach wspólnie z setkami tysięcy chłopów polskich zza kordonu, z którymi można się było porozumiewać swojską mową, stanowiły niewątpliwie okazję do budzenia lub umacniania świadomości narodowej. Ale rolę tego łącznika osłabiały kompanie odpustowe do niemieckich miejscowości Wartha (dawne Byrdo) i Albendorf na Śląsku Kłodzkim, gdzie się uczestniczyło w uroczystych obrzędach wespół z katolikami niemieckimi, z którymi znaczna większość mieszkańców Giełczyna mogła się porozumieć nie gorzej niż z polską ludnością większą zgromadzoną w Częstochowie.

Ci sami ludzie w jednym roku szli do Częstochowy, w drugim do Albendorfu. Niekiedy na to samo święto Matki Boskiej mąż szedł do Albendorfu, żona do Częstochowy. Jeden z największych patriotów polskich w Giełczynie, jeden z tych, którzy wedle mego gospodarza stanowili tam „pień polskości“, wielokrotnie prowadził kompanie do Albendorfu, które tamtejsi Niemcy katolicy przyjmowali bardzo życzliwie. Mówił mi, że spotykał się z zarzutami, iż prowadzi kompanie do miejscowości czysto niemieckich, ale na to odpowiadał: „A niechże i Niemcy z Albendorfu przekonają się, że pod Opolem mieszkają Polacy“.

Oczywiście, była to racjonalizacja, spowodowana przez owe zarzuty. Istotne motywy wyrastały z regionalnych tradycji. Topografia miejscowej religii obejmowała obok góry św. Anny pod Opolem zagraniczną Częstochowę i leżące również poza granicami Górnego Śląska Warthę i Albendorf. Właśnie połączenie Częstochowy z Albendorfem stanowiło swoistość miejscowej religii: kult Czarnej Madonny z Częstochowy różnił tamtejszych Ślązaków od katolików niemieckich. Tradycja świętych miejsc na Śląsku Kłodzkim różniła ich od polskich gromad, które spotykali w Częstochowie. Dla owego patrioty, o którym wspominałem. Częstochowa posiadała dwie funkcje: była świętym miejscem polskiej zbiorowości narodowej, siedzibą Królowej Korony Polskiej, i świętym miejscem zbiorowości regionalnej. Tę drugą funkcję dzieliła z Górą św. Anny i z Albendorfem.

To, że religia na Śląsku Opolskim stanowiła czynnik więzi regionalnej, odbijało się na stosunku Ślązaków do księży. Nawet dla wielkich Polaków, z którymi o tych sprawach rozmawiałem, k s i ę ż a - p a t r i o c i, którzy zapisali się w dziejach polskiego ruchu narodowego na Śląsku, to k s i ę ż a i p a t r i o c i: ksiądz może być patriotą, tak

jak może być patriotą kowal. Ksiądz ma nawet po temu więcej danych, ponieważ jest wykształcony, ale nikt nie wymaga, aby ksiądz był patriotą z tego tytułu, że jest księdzem.

Wprost przeciwnie, parokrotnie spotkałem się z opinią, że ksiądz jako ksiądz powinien patrzeć spraw kościoła a nie polityki. Wielkim szacunkiem otoczona jest wśród miejscowych patriotów postać księdza K., którego w czasie plebiscytu „orgesze“ chcieli zamordować i któremu wysmarowali gnojem klamki na plebanii, ale z szacunkiem mówi się także o księdzu P., który trzymał się z dala od polityki, nie mieszał się do ruchu narodowego a wystawił nowy kościół. Nikt się nie gorszy, że w czasie wyborów zalecał głosować albo na Centrum albo na listę polską, bo te obie listy były listami katolickimi, a więc z jego księzego stanowiska obie były godne poparcia. Byłoby źle dopiero, gdyby zalecając głosować na Centrum zabraniał głosować na listę polską, bo wtedy występowałby jako polityk i to jako polityk wrogi polskości. Ksiądz P., jak mówił mi syn mego gospodarza, „nie był ani prawym Polakiem ani prawym Niemcem; był Górnoszlązakiem“¹⁾. Ale w sprawach kościelnych był nieustępliwy i może by go nawet Niemcy wywieźli podczas wojny, gdyby nie umarł. W czasach hitlerowskich odważył się powiedzieć z ambony: „Pan Bóg umarł na krzyżu a nie na hackenkreutzu“. Ksiądz P. wedle opinii swych polskich parafian był taki, jakim ksiądz być powinien.

„Religia powinna być jednaka ponad narodowościami“ mówił mi Marczyk, potępiając nacjonalizm księdza Niemca, z sąsiedniej wsi, który w czasie pierwszej wojny światowej zakazywał parafianom chodzić do kościoła św. Rocha, bo św. Roch był Francuzem. Tego księdza wkrótce szlag w drodze trafił, stwierdza gospodarz, pozwalając się domyślać, że to była zemsta św. Rocha. Oczywiście, abstrakcyjne twierdzenie, że religia powinna być ponad narodowościami, nie staje w kolizji z przywiązaniem do całego zespołu lokalnych tradycji religijnych, lokalnych rytuałów.

Obecny kapelan może mówić po polsku tylko nie chce, stwierdza Marczyk. Obecny proboszcz, o polskim nazwisku, również nie chce czytać Ewangelii po polsku, ani mówić polskich kazań, chociaż umie po polsku. Odkąd władze polskie objęły Opolszczyznę, raz tylko czytał polską Ewangelię. A przecież Ewangelia w polskim języku i polskie kazania należały do

1) Słowo „prawy“ użyte tu, oczywiście w sensie staropolskim, tj. w znaczeniu „prawdziwy“.

miejscowej tradycji religijnej respektowanej nawet przez proboszczów Niemców, dopóki Hitler tego nie zabronił. To też Marczyk nie będzie żałował, gdy obu miejscowych księży władze polskie wysiedlą, aczkolwiek bardzo jest źle, gdy parafia zostaje bez księdza. Ma co prawda nadzieję, że znajdą się w Polsce jacyś księża dla Giełczyna.

Niezależnie od swych poglądów politycznych, ksiądz powinien z racji swych obowiązków szanować miejscowe tradycje religijne. Gdy Hitler nakazał usunięcie polskich napisów z kościoła, kowal i kościelny prosili księdza N. (ówczesnego proboszcza), aby pozwolił nie zamalowywać napisów polskich pod stacjami Męki Pańskiej w kościele, a tylko kazał zakleić je papierem. Ksiądz odmówił, co mu kowal ma bardzo za złe, ze względów raczej religijnych niż narodowych, bo i tak wiadomo było, że ksiądz N., o polskim szlacheckim nazwisku, nie poczuwał się do polskości.

Dla charakterystyki grupy społecznej jest rzeczą ważną, jak się w tej grupie kształtuje pojęcie reneacji, kogo się uważa za reneata.

Przynależność do zbiorowości narodowej dla mieszkańców Giełczyna podlega stopniowaniu. Mówiliśmy, że słowo Polak w stosunku do ludności miejscowej posiada charakter przymiotnikowy, że można być bardziej lub mniej Polakiem. Przy czym nie jest to tylko sprawa poczucia wewnętrznego: oficjalne spisy ludności w Prusach w okresie międzywojennym, jak widzieliśmy, nie dawały wyraźnego rozgraniczenia między kategorią Niemców i kategorią Polaków. Natomiast przynależność do zespołu wiernych jest wyraźnie zdeterminowana: jest się katolikiem albo się nim nie jest. Istnieją „dwujęzyczni“, nie ma dwuwyznaniowych.

W tych warunkach nic dziwnego, że pojęcie odstęstwa jest związane przede wszystkim z religią. Odstępcą od gromady swojaków jest przede wszystkim odstępcą religijny.

„Odstępców od wiary — mówił mój gospodarz — było w Giełczynie ze dwudziestu“. „Czy przeszli na protestantyzm?“ — zapytałem. „Nie, nie na protestantyzm, tylko na wiarę hitlerowską“. Jeden z nich tłumaczył, że „tak jak każda maszyna z czasem się wyrabia (tzn. psuje się od użycia) tak i wiara. Wiara katolicka jest bardzo stara; już się zużyła. Hitler chce ją naprawić“. Tę paralelę słyszałem w Giełczynie parokrotnie. Mówiono mi, że gdy odstępcą wykladał ją w kuźni, kowal krzyknął z oburzeniem: „Pana Boga chcecie poprawić?!“ Zapytałem, czy ów odstępcą chodził do kościoła. Owszem, chodził, ale po to tylko, aby „wachtować“, co się tam mówi. Odstępcy zgłaszali swą reneację przez sąd.

Mieli swoich „sprawców“, jak mówi mój gospodarz (tzn. swoich opiekunów, zastępujących kapłana). Jeżeli któryś umarł, to pogrzeb był już bez księdza.

Czymś w rodzaju odstępstwa, nie od wiary co prawda ale od rodzinnej tradycji, była zmiana nazwiska. Dla kariery niektórzy mieszkańcy Opolszczyzny zmieniali polskie nazwiska na niemieckie. Wicha „przekrzycował się na Wichmana“, aczkolwiek żona jego pochodziła z wielkich Poloków. Przekrzycował się, bo pracował na „szosei“ i zmiana nazwiska była mu potrzebna dla utrzymania stanowiska. Dwaj synowie starego Gwiozdy, który był „wielki Polok“, i brał czynny udział w akcji plebiscytowej zmienili nazwisko na Stern, bo z nich się Niemcy „straśnie pośmiwali za ojca; wołali na nich „Polnische Agitator“, „Korfanty“, „Grosse Pole“.

Zmiana nazwiska nie budziła takiego oburzenia jak zmiana wiary, ale była naogół oceniana ujemnie. I tu wszakże odczuwano raczej zdradę swojskości niż polskości. Kiedy kto przepisał nazwisko — mówi kowal — to tak jakoby podeptał imię ojców. Z uznaniem opowiada o Niemcu Wojciechowskim, naczelniku poczty z Opola, który pomimo presji ze strony hitlerowców nie zgodził się zmienić nazwiska, właśnie ze względu na pamięć swego ojca. Kowal, który mi to opowiada, także nie zmieniłby swego niemieckiego nazwiska na polskie, pomimo że jest „wielkim Polokiem“ i że Germanów nie znosi.

Większy bodaj niż w innych dzielnicach Polski tradycjonalizm religijny Ślązaków opolskich wiąże się z konserwatyżmem obyczajowym życia rodzinnego, kontrastującym silnie z techniką gospodarki o urządzeniach daleko bardziej nowoczesnych niż na Mazowszu lub w Małopolsce i z racjonalnością systemu gospodarowania. Zwrot: „Nie tak ojcowie uczyli“ jest równoznaczny z moralną naganą. „W Piśmie Świętym powiedziano — mówi jeden ze starszych gospodarzy — że na Sądzie Ostatecznym cudzołożnik kryć się będzie za zbójnikiem“.

Jednym z objawów obyczajowego konserwatyżmu są lokalne przerwiska, które posiada większość dawniejszych mieszkańców, a wśród nich wszyscy bodaj gospodarze. Te przerwiska są często przywiązywane do chaty: kto nabywa lub dziedziczy chatę, przejmuje równocześnie przerwisko; w niektórych wypadkach jest to nazwisko poprzedniego właściciela, albo właściciela sprzed paru pokoleń. Nie mówi się „iść do Warzęchy“ tylko „iść do Korola“, bo ojciec Warzęchy kupił chatę od Korola i nazwisko Korola przyrosło do Warzęchów. Dziewczyna, która zna dobrze Warzęchów,

nie umiała odpowiedzieć, gdy ją pytano, gdzie mieszka Warzęcha. Naszego gospodarza nazywają Kowolem, bo jego „starzyk“ (dziadek), który kupił to gospodarstwo, był kowalem. „Nie kunst być kowolem wyucunym, kunst być kowolem urodzonym“ mówi żartobliwie mój gospodarz. Jeden z sąsiadów jest powszechnie znany jako „Golembus“, a jego prawdziwe nazwisko nie jest w stosunkach sąsiedzkich używane. Przed kilkudziesięciu laty, może nawet blisko sto lat temu starzyk dzisiejszego Golembusa jadąc Odrą wpakował barkę na mieliznę i długo nie mógł jej stamtąd ściągnąć. Sąsiedzi rzekli: „Oho, trafił na Amerykę jak Golembus“ (Kolumb). Od tego czasu już trzecie pokolenie nosi przezwisko „Golembus“. Jeden z poprzednich sołtysów miał przezwisko „Gnida“, ale ponieważ to jest brzydkie słowo, nie pozwalał tak się tytułować na zebraniach gminnych.

Jak mi mówiono w Giełczynie, obok lokalnych przezwisk istnieją w poszczególnych wsiach lokalne cechy języka, lokalne słownictwo, które także świadczyłyby o trwałości wzorów kulturowych w tym środowisku. W Giełczynie mówią „chustka“, w sąsiedniej wsi „sądka“; tu: „tatulek“, „matulka“, tam: „taciczek“, „matuchna“; tu: „klaca“; tam: „kobyła“. Nie miałem sposobności sprawdzić tych różnic w sąsiedniej wsi (oddalonej o 3 km); w każdym razie istnieją one w świadomości mieszkańców Giełczyna.

Ucisk lat wojennych i brzemień wyzwolenia

Dojście Hitlera do władzy a w szczególności reżim hitlerowski w czasie wojny spowodował dość głębokie przeobrażenia w stosunkach społecznych wiejskiej zbiorowości i w postawach mieszkańców. W stosunku do grup regionalnych po wybuchu wojny hitlerowcy zmienili politykę. Zastosowano względem ludności miejscowej ostry podział na Polaków i Niemców jako na kategorie, pomiędzy którymi nie ma nic trzeciego. „Dotąd mówiliśmy wam — oświadczono ludności Górnego Śląska we wrześniu 1939 — że dialekt górnośląski to nie jest język polski, tylko Wasserpolnisch. To była nieprawda. Mówiliśmy tak dla propagandy. Obecnie stwierdzamy, że dialekt górnośląski jest językiem polskim. Kto go używa, ten jest Polakiem i będzie traktowany jak Polak“¹⁾. W Giełczynie ukazały się wówczas tablice z napisami: „W e r p o l n i s c h s p r i c h t i s t D e u t s c h l a n d s V e r r ä t e r“.

¹⁾ Treść tego przemówienia podał mi z pamięci sekretarz gminy Giełczyna. Przemówienie takie słyszał w Pszczyńskim.

Terror hitlerowski pociągał za sobą zaostrzenie przeciwieństw wewnętrznych we wsi. Na jednym krańcu wystąpili studzy reżimu, którzy pomimo związków rodzinnych i sąsiedzkich znaleźli się poza gromadą, stawszy się członkami obcej zbiorowości, nie tolerującej obowiązków względem innych gromad. Nie wszyscy, którzy zostali członkami „partai Hitlera“ w czasie wojny, stawali się obcymi dla gromady: niektórzy, jak wiemy, wstępowali do partii tylko po to, aby utrzymać się na stanowisku lub zyskać awans; niektórzy — lękliwi — nie umieli się oprzeć presji; niejeden w charakterze „partajczłowieka“ oddawał, jak wspominałem, usługi zagrożonym sąsiadom. Potwierdza to młody człowiek spod Częstochowy, który w czasie wojny został przez Niemców wywieziony do Giełczyna na roboty, a obecnie pełni tam funkcje milicjanta. Ale ci „co latoli za Hitlerem“, wedle wyrażenia jednego z gospodarzy, przeważnie młodszy, o których było wiadomo, że trzeba się ich wystrzegać, ci, którzy usuwali obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej, ci, którzy oficjalnie zgłosili wystąpienie z kościoła, — ci zrywali więź gromadzką, przechodząc równocześnie do innego kręgu kulturowego, o tyle o ile pozwalały na to dawne nawyki. „Lepszy je Niemiec, co dobry był — mówi Marczyk — niz Polok donosiciel“.

Na drugim krańcu znaleźli się ludzie, których wysłano do obozów koncentracyjnych, albo którzy ukrywali się, aby uniknąć takiego losu, tudzież ludzie, którzy gotowi byli na pewne ryzyko, aby zachować swą godność i wierność pewnym czczonym przez się wartościom. To byli ci, którzy nie wywieszali flag hitlerowskich, nie usuwali polskich napisów w swoich zagrodach, nie podnosili po hitlerowsku ręki, mówili w domu jak dawniej po polsku, uczyli swe małe dzieci polskiej mowy. Nieco bardziej skomplikowana jest sprawa z tymi, którzy słuchali radia angielskiego, gdyż tutaj obok wrogości względem reżimu motywem popychającym do nielegalnych czynów bywała ciekawość. W każdym razie popełnianie przestępstwa politycznego, chociażby z ciekawości tylko, w środowisku nawykłym do życia legalnego miało niewątpliwie poważne konsekwencje społeczne: wiązało słuchaczy radia — których podobno było wielu — ze światem konspiracji i z Polakami zesłanymi na Śląsk na roboty ¹⁾.

Pomiędzy tymi dwoma krańcami zbiorowość wiejska w swojej ogromnej większości podlegała jednym i drugim wpływom. Niechęć do rządu

¹⁾ Ów milicjant spod Częstochowy także chadzał do jednego z gospodarzy na radio angielskie.

hitlerowskiego za bezceremonialne rozprawienie się z tradycjami religijnymi, za panoszenie się nowych ludzi, za grozę i poczucie niepewności, jakie budziły władze partyjne i rządowe, a z drugiej strony oportunizm, nakazujący przystosować się do nowych warunków, i urok niebywałych zwycięstw hitlerowskich w pierwszych dwóch latach wojny — oto różne motywy popychające gromadę wiejską to w tę, to w tamtą stronę.

Kampania przeciw Czarnej Madonnie zrodziła legendę. Opowiadają we wsi, że gdy w r. 1942 miejscowy nauczyciel, „kłak, zezyrca ¹⁾ Poloków“ z dwoma odstępcami chciał zerwać obraz Matki Boskiej Częstochowskiej z sosny, pod którą kiedyś cud się wydarzył, wszyscy trzej padli jak martwi, musieli ich ludzie zanieść do stojącego opodal *D e u t s c h e m ä d e l h a u s*, a jeden z tych wrogów Matki Boskiej, leśnik, zgłupiał i nigdy już nie odzyskał rozumu.

Wieś nie była życzliwie usposobiona względem Żydów, bardzo zresztą w tych okolicach nielicznych. Jeden z „wielkich Poloków“ tłumaczył, że na Śląsku Żydzi zawsze byli za Niemcami przeciw Polakom, że podczas plebiscytu dawali duże pieniądze na agitację prońemiecką, że po przyjsciu Hitlera do władzy podnosili rękę, pozdrawiając jeden drugiego słowami „Heil Hitler!“ Ktoś inny twierdził, że Żydzi zasłużyli na swój los, bo się wysługiwali Niemcom. Ale postępowanie hitlerowców z Żydami budziło dezaprobatę, raziło bowiem silnie zakorzenione wśród Ślązaków poczucie praworządności. To nie było w porządku — mówił mi jeden gospodarz — że po skonfiskowaniu Żydowi połowy majątku kazano mu płacić podatek od całości. Wypowiedź bardzo charakterystyczna, zwłaszcza że ów gospodarz wiedział, co się później z Żydami działo. (Nawiasowo dodam, że Żydów traktuje się tam raczej jako ludzi innej wiary niż jako ludzi innej rasy. Ochrzczonych Żydów ochraniano w czasie wojny przed prześladowaniami a obecnie wyrażano się o nich z sympatią). Pozdrowienie hitlerowskie również wchodziło w kolizję z obyczajami. „Żaden cesarz nie nakazał takiego pozdrowienia, jak ten człowiek, który był bez większego wykształcenia“ — mówił mi jeden ze światlejszych gospodarzy. A Marczykowa, gdy ktoś z młodych ludzi wchodził do chaty ze słowami „Heil Hitler“ pytała: „To tak ciebie ojcowie uczyli?“

Ważną zmianą w życiu rodzinnym u większości mieszkańców wsi było wyłączenie małych dzieci z nurtu tradycji językowej, tzn. pozbanienie ich mowy ojczystej. Kierownik polskiej szkoły założonej wiosną

1) Od słowa „pożerać“.

1945 r. — może z pewną przesadą — twierdzi, że na pięćset z górą dzieci zaledwie dzieci kilku patriotów mówiły dobrze po polsku (śląską gwarą). A ponieważ w szkole niemieckiej w czasie wojny dzieci te bardzo wczesnie dostawały się do organizacyj hitlerowskich, których wpływom niebezpiecznie było przeciwdziałać, nowe pokolenie wychowywało się w nowej kulturze i nowej ideologii. Rygory hitlerowskie godziły nie tylko w polskość ale w tradycyjną obyczajowość i zwartość śląskiej gromady.

W miarę trwania wojny słabło poczucie stabilizacji. Zjawiała się znowu świadomość możliwych zmian w jednym lub drugim kierunku zależnie od losów wojny. Zaczęły pod tym względem wracać nastroje plebiscytowe. Po klęsce niemieckiej pod Stalingradem nastroje te wzmacniały się. Możliwość upadku Niemiec i przesunięcia granic Polski poza Opole sprzyjała szērzeniu się ruchu patriotycznego. Sprzyjało temu również słuchanie radia zagranicznego i przekazywanie ustne usłyszanych wiadomości.

Bratowa Marczyka już w pierwszym roku wojny wyjaśniła litery NSDAP zapowiedzią: „nasi zaś do wos przyńdą!“. Później zaczęto powtarzać proroctwa dotyczące odrodzenia Polski; zaczęły krążyć liczne anegdoty antyhitlerowskie, częściowo przywożone z Berlina. Ludzie cieszyli się, gdy im opowiadano o urzędniku niemieckim, który kontrolował ubój świń i wszedł do chaty ze słowami: „Heil Hitler, wo hängt das Schwein?“ Cieszyli się, że można było pomyśleć o Führerze jako o świni, i że można było pomyśleć, że Führer, że potężny Führer wisi. Pod koniec roku 1944 większa część wsi czekała podobno wyzwolenia.

Wyzwolenie przyszło. Ale przybrało narazie postać katastrofy. Poza nielicznymi jednostkami, które zostały wywiezione do obozu lub musiały uciekać, poza rodzinami, które straciły kogoś na froncie, mieszkańcy Giełczyna aż do grudnia 1944 roku nie odczuli wojny w sposób dotkliwy. Życie we wsi toczyło się spokojnie, przydziały kartkowe były wystarczające, warunki ekonomiczne zupełnie znośne. W rozmowach z niektórymi mieszkańcami wsi, w szczególności z kobietami, zauważyłem, że gdy mówią o czasach przedwojennych mają na myśli okres sprzed grudnia 1944 roku.

Do nich wojna przyszła w grudniu — i zmiotła dawne spokojne czasy. W grudniu przesunęła się linia frontu a za nią wtargnęły pożary, rekwizycje i rabunki, gwałcenie dziewcząt. Mało było dziewcząt we wsi — twierdzą mieszkańcy — które nie zostały „potargane i zbaranowane“, często na oczach rodziców. Lęk przed maruderami nie zniknął jeszcze

w czasie mego pobytu w Gielczynie tzn. w sierpniu 1945 r. Kiedy uciehły armaty, przyszła pierwsza fala „Póloków“, ale ci Polacy nie zbliżyli Śląska do Polski. Dla mieszkańców Gielczyna to był dalszy etap klęsk wojennych. Pojawiła się plaga chybkonogich szabrowników tym groźniejszych, że osłaniających się wobec wystraszonej ludności urzędową funkcją. Poza żądzą zdobyczy u niektórych przybyszów z Zagłębia Dąbrowskiego wchodził w grę motyw zemsty na Ślązakach za krzywdy poniesione podczas okupacji od pochodzących ze Śląska i mówiących Śląską gwara niemieckich żandarmów. Nie trudno było udowodnić Ślązakowi, że był Niemcem i wyciągnąć z tego konsekwencje, gdy jego siedmio lub ośmioletnie dziecko nie mówiło po polsku.

Na wiosnę 1945 r. przez trzy miesiące teroryzował Gielczyn naczelnik gminy, który — jak mówiono — przyjechał w jednej kurtce a uciekł z Gielczyna w nocy na trzech wozach. Wnosząc ze zgodnych relacji mieszkańców wsi był to człowiek zdolny, odważny (do uzbrojonych morderców wychodził z rewolwerem, co bardzo imponowało ludziom miejscowym), dobry organizator, a równocześnie — wedle obrazu, jaki pozostawił we wsi, człowiek o skłonnościach bandyty, człowiek, który wysiedlał zamożniejszych gospodarzy jako rzekomych Niemców, aby im obrabować mieszkania. „Wikłac i miglanc“ przedstawiał się zależnie od potrzeb jako oficer AL, jako oficer AK, albo jako magister filozofii. A wieś umiał w takim strachu utrzymać, że gdy wreszcie Marczyk napisał nań skargę do władz polskich, nie mógł znaleźć nikogo we wsi, kto by się odważył tę skargę podpisać; każdy lękał się, że zostanie za to wysiedlony przez oskarżonego. Ostatecznie podpisał skargę sam Marczyk, „bo on się boi, kiedy trzeba coś zrobić dla sprawiedliwości i honoru“¹⁾.

Ku zażenowaniu i smutkowi wielkich Polaków w takich osobach zaprezentował się Gielczynowi naród polski na początku po wyzwoleniu. Nie poprawili tej opinii osadnicy zza Lwowa, którzy przybyli do Gielczyna i wioski sąsiednich późną wiosną lub wczesnym latem 1945 r. W Gielczynie osiadło ich niewielu (około 12 rodzin), bo niewiele tam było gospodarstw niemieckich. Liczniej przybyli do wsi sąsiednich.

1) Dowiedziałem się niedawno, że w r. 1946 ów wójt za swoje czyny w Gielczynie miał w Opolu sprawę sądową i został skazany na 16 lat więzienia. Zrobiło to dobre wrażenie na mieszkańcach Gielczyna, aczkolwiek pesymiści twierdzili, że taki człowiek to, się i od więzienia wykręci. Jest charakterystyczne, że jeden z wielkich Polaków zeznając jako świadek wyraził przekonanie, iż Niemcy w ciągu stu lat tak nie zaszkodzili sprawie polskiej w Gielczynie, jak ów naczelnik gminy w ciągu trzech miesięcy.

Zderzenie się tych dwóch zbiorowości o różnych kulturach, różnej obyczajowości, różnym systemie gospodarki winno by stanowić przedmiot oddzielnego studium. Dla pracowitych, oszczędnych, systematycznych Ślązaków repatrianci, którzy nie zdążyli się jeszcze przystosować do nowych warunków, przyzwyczajeni do mało intensywnej gospodarki na doskonałych ziemiach, rozgoryczeni koniecznością porzucenia swoich zagród i rodzinnych stron i nie rezygnujący jeszcze z myśli o powrocie, byli ludźmi obcymi, którzy Ślązaków nie rozumieli, a gorszyli ich swym lenistwem i brakiem solidności, spowodowanym lub spotęgowanym przez przejścia wojenne i emigrację.

Oto kilka charakterystycznych wypowiedzi, wskazujących jak wyglądał repatriant w pierwszych miesiącach po przybyciu na Śląsk w oczach miejscowej ludności:

Syn jednego z gospodarzy, abiturient gimnazjum bytomskiego: „Nie chcą tu pracować. U siebie mieli doskonałą ziemię; tylko sochą drewnianą podrapie i rośnie mu żyto takie! Na Śląsku nie zostawia się najmniejszego kawałka ziemi. Bydła się nie pasie latem w polu, tylko tnie mu się potraw i futruje w oborze. Tamci pasą bydło na polu. Tego roku biedniejsi ludzie we wsi, nie mając inwentarza, motykami skopali swoje dwie morgi, a nie zostawili ani kawałka. My umiemy pracować i chcemy pracować, tylko żeby nam dali spokój“.

Starsza kobieta z sąsiedniej wsi: „Ślązak pracuje, nie ji a dla dzieci śparuje. Ludzie z innych stron nie chcą pracować“.

Gospodarz z kolonii frydrycjańskiej, gdzie na miejscu wysiedlonych Niemców zamieszkało 67 rodzin repatriantów zza Lwowa, obok 20 rodzin tubylczych: — Dawniej nie znało się kłódek, bo były niepotrzebne. Dziś repatrianci sami nie chcą pracować a cudzej własności nie szanują. Stoją sobie i nic nie robią. Konie się pasą, kiedy jest robota, a nasi ludzie nie mają koni. Choćby mieli stąd odejść, choćby liczyli, że wrócą do siebie, to przecie nie powinni patrzeć, jak się ziemia zamienia w ugór, jak ją perz porasta. Ziemi nie można zostawić nieuprawionej.

„Niemcy przezywali nas Polokami, ci przezywają Niemcami. A oni sami nie są prawe Poloki: gadają jakoś po ukraińsku cy po rusku“.

Gospodarz z Giełczyna: — Dwaj repatrianci, którzy przybyli do Giełczyna, „pedzieli, ze takich kamycków uprawiać nie będą. A przecie kamycki, nie kamycki, uprawiać ziemię trzeba“.

Starzec z sąsiedniej wsi: „Repatrianci to nie je lud. Gnojcy. Nie do pracy. Jedzie wozem, a ktoś prosi, żeby go zabroł, to nie zabierze. Jakbym miał z takimi ludźmi mieskać, to bym wołol mieskać gdzieś na kątach“.

W myśl socjologicznego prawa, które można by nazwać „prawem tła“ obcowanie z repatriantami osłabiło Ślązakom poczucie dystansu społecznego względem Niemców, sprawiło, że Niemcy we wspomnieniach poczęli ukazywać się jako ludzie tej samej kultury, jako bardziej swoi niż te „Poloki“ mówiące z ukraińska a nazywające Ślązaków Niemcami. Tylko grupa „wielkich Poloków“ podtrzymywała wspomnienia antagonizmu polsko-niemieckiego, usiłując przeciwstawić się działaniu tego „prawa tła“.

Kazanie na wielkim odpuszcie, który miał miejsce podczas mego pobytu w Giełczynie i który zgromadził rzesze okolicznej ludności, kazanie, wygłoszone pod gołym niebem na cmentarzu kościelnym przez przyjezdnego księdza Ślązaka, utrzymane było w tonach jeremiaszowych: były to słowa, jakie się wygłasza w dniach klęski a nie w dniach wyzwolenia. Powtarzał się refren: „Wiele grzechów ciąży na narodach, jeżeli doszło do takich okropności i nieludzkości“. Było jasne, że ksiądz mówi o nieszczęściach, jakie spadły na ludność tutejszą w ostatnich kilku miesiącach.

Lwowscy repatrianci ocenili kazanie jako kazanie wygłoszone po polsku dla Niemców. Miejscowi ludzie — nawet miejscowi patrioci polscy — z wyjątkiem młodej nauczycielki, która wiedziała o cierpieniach Polaków w czasie okupacji niemieckiej, nie dostrzegli w kazaniu nic nie stosownego. Nie dostrzegli, gdyż z jednej strony byli przyzwyczajeni, że ambona nie jest miejscem, z którego mogłyby promieniować uczucia narodowe, a z drugiej strony słowa kaznodziei harmonizowały z ich ówczesnym nastrojem: nastrojem zawodu, krzywdy i niepewności. Być może nastrój ów przyczynił się do tego, iż nie śpiewano na odpuszcie zabronionej podobno jeszcze za czasów Wilhelma pieśni „Serdeczna Matko“.

Więź regionalna na tle szerszych zbiorowości.

Przypomnijmy sobie słowa, jakimi syn mego gospodarza określił miejscowego księdza, zmarłego podczas wojny, księdza, który nie ułękł się hitlerowców i do którego zarówno ów młody człowiek jak ludność wsi odnosiła się z pełnym szacunkiem: „To nie był ani prawy Polak ani prawy Niemiec. To był Górnoszlązak“.

W świetle zebranych materiałów zdajemy sobie sprawę, że to określenie można by rozciągnąć na znaczną większość mieszkańców Giełczy-na i wsi okolicznych. W świadomości swojej są oni przede wszystkim Górnoszlązakami, a co ważniejsza, są oni Górnoszlązakami na stałe i są Górnoszlązakami z urodzenia. To jest właśnie ta więź predestynowana i w zasadzie nierozzerwalna, którą przywykliśmy traktować jako atry-but uczestnictwa w zbiorowości narodowej. Natomiast poza nieliczną grupą wyznawców ideologii narodowej, którzy upodobnili się w swej postawie narodowej do patriotów zza dawnego kordonu, narodowość jest traktowania jako coś nieporównanie mniej trwałego, coś co przypomina przynależność do partii politycznej, coś co jest luźniej związane z człowiekiem niż jego wiara i co zależy może od jakichś sił politycznych, które się gdzieś nad głowami ludzkimi ścierają.

Opowiadano mi w Bukowinie Podhalańskiej o starym gaździe, którego za czasów okupacji niemieckiej usiłowano w urzędzie meldunkowym nakłonić, aby w rubryce „narodowość“ podał się za „Górala“. „Góral to ja był zawse — odpowiedział gazda — ale za Austrii pisali mię Austriak, za Polski pisali mię Polak; teraz kie tu je Gubernia, to moziecie mię zapisać „gubernator“. Dla owego gazdy z Bukowiny był to zapewne dowcipny wykręt, ale ten wykręt przypomina cytowaną na początku tej pracy wypowiedź gazdy ze Śląska Cieszyńskiego, która była niewątpliwie szczerą, a odpowiadałaby postawie dominującej wśród mieszkańców Giełczy-na: narodowość może się zmienić, górnoszląckość pozostanie.

Uczestnictwo w zbiorowości regionalnej przede wszystkim decyduje o podziale na swoich i obcych. Wprawdzie w czasie powstania jedni Górnoszlązacy walczyli obok Niemców w oddziałach niemieckich przeciw innym Górnoszlązakom, którzy walczyli w oddziałach polskich. Ale też powstanie pozostawiło wspomnienia walk bratobójczych podniecanych przez obcych. Byli Górnoszlązacy, którzy walczyli, o to, aby wszyscy swoi zostali Polakami, a byli znów i tacy, którzy walczyli o to, aby wszyscy

s w o i pozostali przy Niemcach. Wysoki stopień nienawiści, która rozpałała przeciwników, jest zjawiskiem pospolicie znanym w walkach bratobójczych.

Jak twierdzi przywódca powstańców z Giełczyna, podczas pierwszej wojny światowej przyszli „orgesze“ nie różnili się od przyszłych powstańców i wcale nie okazywali się większymi przyjaciółmi Niemców. Motywem ich orientacji proniemieckiej w czasie plebiscytu były najczęściej sprawy ekonomiczne. W organizacjach przeciwpolskich biorą udział przede wszystkim robotnicy wyjeżdżający dużymi zespołami na roboty sezonowe do Saksonii, Hanoweru, Westfalii. Dobrze zarabiali. Przyłączenie Śląska do Państwa Polskiego pozbawiłoby ich, jak sądzili, możliwości tego zarobku.

Więź regionalna na Górnym Śląsku, podobnie jak przynależność religijna, ma za sobą tradycję wielu stuleci. Zagadnienie przynależności narodowej jest świeżej daty. Starzy ludzie pamiętają, kiedy się tym zaczęto interesować. Poczucie łączności pomiędzy odwieczną zbiorowością regionalną a zbiorowością szerszą, zbiorowością narodową, zjawiało się tu w szerszych lub węższych kręgach z większą lub mniejszą intensywnością pod wpływem różnych okoliczności, czy to była walka o język i o własnych posłów jako reakcja na bismarkowski *K u l t u r k a m p f*, zagrażający nie tylko polskości ale i swojskości Górnego Śląska, czy walki plebiscytowe, czy reakcja po klęsce stalingradzkiej na bezwzględność rządów hitlerowskich.

Nie mam danych, aby zdać sobie sprawę, jak się krzyżowała więź regionalna z więzią ideologiczną opartą na podłożu klasowym w grupach socjalistów i komunistów, które łączyły Górnoszlązaków i Niemców. Można jednak przypuszczać, że wśród licznych głosów, jakie w czasach przedhitlerowskich padały w Giełczynie na listę socjalistyczną i na listę komunistyczną, nie brakło takich, które były wynikiem przekonania, iż socjalizm lub komunizm to droga, na której można będzie uchronić zbiorowość swojaków od rozdarcia pomiędzy ścierającymi się nacjonalizmami i od upokorzeń wynikających z tej sytuacji. Warto przypomnieć cytowany przez J. Chałasińskiego życiorys Górnoszlązaka, który uważał Górny Śląsk za swą ojczyznę a „jedyne rozwiązanie kwestii Śląska“ widział „w komunizmie zapoczątkowanym w Rosji“¹⁾. Może miał jakieś argumenty jeden z teoretyków narodowego socjalizmu dr. Nikolai, dy-

1) *Antagonizm polsko-niemiecki w osadzie fabrycznej „Kopalnia“ na Górnych Śląsku*, Warszawa 1935, str. 79.

rektor departamentu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Rzeszy, gdy pisał, że Polacy należą do rasy, którą można nazywać „bolszewicką“ (b o l s c h e w i s t i s c h e R a s s e!)¹⁾.

Nawiązując do swych wstępnych rozważań, musimy stwierdzić, że więź regionalna na Śląsku Opolskim pomimo swego terytorialnego charakteru nie ma oparcia w żadnej wyraźnej koncepcji regionu jako jednostki terytorialnej. Ojczyzna regionalna nie ma wyraźnych granic albo raczej stanowi zbitkę kilku obszarów, z których każdy jest związany z jakimiś elementami kulturowymi regionalnej zbiorowości, z jakimiś elementami tradycji.

Wchodzi w grę przecie i Śląsk piastowski obejmujący także Cieszyn i Opawę, i pruski Śląsk z Wrocławiem i Legnicą, i Górny Śląsk, stanowiący jedną z trzech regencji pruskiego Śląska, Regencję Opolską, który chociaż tylko administracyjnie oddzielony od pozostałych regencji odegrał dużą rolę w kształtowaniu się ojczyzny regionalnej: z tą regencją wiązało się pojęcie G ó r n o ś l ą z a k a, które w szczególności na terenie Niemiec — stało się pojęciem etnicznym i przeniknęło na teren polityki.

Wchodzi w grę dalej obszar plebiscytowy, który nie obejmuje całej Regencji Opolskiej, a który nabrał swoistego charakteru nie tylko przez burzliwą historię przygotowań do plebiscytu ale i przez piętnastoletni okres podlegania ustawom Konwencji Genewskiej (1922—1937). Linia graniczna, która po plebiscycie dzieliła Górny Śląsk w ciągu 18 lat, wytworzyła zaczątkowe cechy odrębności regionalnej na Opolszczyźnie w przeciwstawieniu do terenów, które weszły w skład Śląskiego Województwa. Jeżeli obszar plebiscytowy jest mniejszy niż Górny Śląsk w dawnych administracyjnych granicach, to znowu obszar Śląska katolickiego sięgał poza granice Górnego Śląska, rozciągając się na Hrabstwo Kłodzkie. A ten Śląsk katolicki nie był dla Górnoszlązaków pojęciem abstrakcyjnym, bo w Hrabstwie Kłodzkim znajdowały się właśnie, jak wiemy, dwa ważne miejsca odpustowe Wartha i Albendorf, dzięki czemu pewna postać regionalnej łączności promieniowała i na owe katolickie powiaty środkowego Śląska.

Dodajmy do tego, że żaden z wymienionych tu obszarów nie stanowi regionu w sensie gospodarczym, żaden nie ma jednolitego charakteru:

¹⁾ Dr Hellmuth Nicolai: *Der Staat im nationalsozialistischen Weltbild*, Berlin 1934, str. 53.

w każdym z tych obszarów, nawet w przydzielonej Niemcom części terenu plebiscytowego, znajdujemy i czarny i zielony Śląsk — tylko w różnych proporcjach.

Zbiorowość regionalna Górnoślązaków nie jest tedy wyznaczona terytorialnie; decydują o jej zasięgu nie geograficzne czynniki, lecz kulturowe: własna religia, własny język, który Niemcy aż do r. 1939 starannie odróżniali od polskiego jako „W a s s e r p o l n i s c h“, własne cechy obyczajowe i własna wielowiekowa tradycja historyczna od Piastów, poprzez Wielkiego Fryca, po plebiscyt i śląskie powstanie, tradycja związana z terytorium regionalnym w różnych jego postaciach.

Poczucie odrębności grupowej spotęgowane jest przez p o z y c j ę s p o ł e c z n ą całej tej zbiorowości o swoistych cechach kulturowych. Pod tym względem sprawa przedstawia się inaczej na Opolszczyźnie niż w Śląskim Zagłębiu a w szczególności inaczej w Giełczynie i wsiach okolicznych, niż w osadzie, która była przedmiotem badań J. Chałasińskiego w r. 1934, osadzie, stanowiącej własność niemieckiego magnata, a zarazem właściciela przedsiębiorstw przemysłowych¹⁾. Tu we wsiach nadodrzańskich, które nie miały obszarników, nie było miejsca na ostre przeciwieństwa klasowe, stanowiące potężny czynnik antagonizmu narodowego w „Kopalni“. Dotyczy to przynajmniej ludności rolniczej i rzemieślniczej, z którą mieliśmy głównie do czynienia.

Ale i tu wiedziało się, że człowiek na posadzie nie będzie miał „postępu“, jeżeli nie poda się za Niemca; wiedziało się, że zmiana nazwiska otwiera drogę do pewnych stanowisk, aczkolwiek dla Górnoślązaka nawet ze zmienionym nazwiskiem nie będą to stanowiska wysokie. Wiedziało się, że elitę społeczną stanowią Niemcy, że na ludność słowiańską patrzą z góry, że akcent górnośląski w mowie niemieckiej działa degradująco. W Poznańskim była polska inteligencja miejska, była polska szlachta. Kto tam mówił po polsku za niemieckich czasów, ten mógł być nawet hrabią. Na Śląsku polski język zdradzał pochodzenie chłopskie lub robotnicze. I mieszkańcy Giełczyna odczuwali wyższość niemieckiej kultury. Nie protestowali, gdy wpisywano do dokumentów ich imiona w formie niemieckiej — bo to było fajniej. Niektórzy — jak widzieliśmy — dawali niemieckie napisy na nagrobkach, bo niemieckie napisy były bardziej eleganckie. Niektóre niemieckie zwroty w rozmowie miały, jak się zdaje, podobny posmak jak zwroty francuskie w aspirujących do elegancji towarzystwach Kongresówki.

1) *Op. cit.*

Poczucie mniejszej wartości, poczucie niższości kulturalnej stając się udziałem gromady sprzyjało konserwatyzmowi obyczajowemu, bo w oparciu o wartości czczone przez ojców szukano rekompensaty i obrony przed poniżeniem. Ta wspólna obrona stawała się także czynnikiem łączącym tubylczą zbiorowość. Podobne zjawiska można obserwować w grupach emigranckich.

Gdy wśród ludności wiejskiej powiatu Opolskiego Polacy stanowili ponad 80% a wśród ludności Opola 8 czy 10%, kultura związana z językiem polskim w tych okolicach była w znacznie większym stopniu niż w Zagłębiu Śląskim kulturą wiejską. Nawet patrioci polscy, którzy zdobywszy wykształcenie wyszli do miast, nie tracili oparcia o ludność wiejską. Z językiem związane były wiejskie wzory kulturowe i wiejski świat pojęć. Tym się tłumaczy, że zakonnica, która opuściła Giełczyn w młodości i 35 lat spędziła w Wiedniu, gdy teraz wróciła do wsi rodzinnej i zaczęła po staremu mówić rodzinnym językiem, zrzuca z siebie cały świat wiedeński razem z niemiecką mową i operuje wyrażeniami i obrazami, które nie licowałyby ani z jej zakonną sukienką ani z otoczeniem, które zostawiła w Wiedniu; kiedy np. chcąc zobrazować wysoką wartość paszy, którą dawano konikowi, powie, iż „gdyby krowa dostała taki futer, to by masłem srała“.

Całkowite przewyciężenie kompleksu niższości mogła dać taka ideologia, przy której polskie pochodzenie nie tylko nie degradowało, ale wprost przeciwnie uprawniało do podjęcia szczytnego zadania życiowego, czyniąc jednostkę z reprezentanta warstwy chłopskiej, mówiącej pogardzaną przez Niemców gwara, reprezentantem dumnego narodu, mającego w swej przeszłości Grunwald i Psie Pole; ideologia, która śląskich *W a s s e r p o l a k ó w*, niemieckich obywateli drugiej czy którejś tam klasy, czyniła strażą wysuniętą na zachód, spadkobiercami i obrońcami piastowego dziedzictwa. Na tej drodze tworzyły się typy wielkich Polaków.

Ambitny robotnik polski miał inną jeszcze drogę przewyciężenia poczucia niższości: ideologię socjalistyczną, która dawała mu posłannictwo proletariusza, bojownika o lepszy świat. Ta droga narzucała się zwłaszcza w tych środowiskach robotniczych, gdzie podział klasowy nie pokrywał się z gruba z podziałem narodowościowym, gdzie robotnik polski miał towarzyszy Niemców. Natomiast u gospodarza ze wsi opolskiej obrona godności własnej i godności własnej gromady prowadziła do ideologii narodowej. Dla niektórych wybitniejszych jednostek mogły

wchodzić w grę stanowiska w Związku Polaków — ryzykowne niekiedy ale zaszczytne, szanowane zarówno przez swoich, jak przez wysoko postawionych Polaków z Warszawy. Dla innych postawa wielkiego Polaka była postawą zajmowaną wbrew wszelkim widokom praktycznym, a w późniejszym okresie czasów międzywojennych także wbrew wszelkiej nadziei. Było się Polakiem „dla honoru“. Dlatego nazwałem ją postawą luksusową.

Nowe procesy i nowe problemy.

W osadzie górniczej, którą badał J. Chałasiński, po plebiscycie robotnicy wywieźli dyrektora Niemca na taczkach do rowu ¹⁾. W Giełczynie po wejściu wojsk niemieckich i po wejściu władz polskich nie było kogo wywozić na taczkach. Ci wszyscy Niemcy, którym taki los mógłby zagrażać, ci wszyscy, którzy mieli powody, aby się lękać nienawiści polskich współmieszkańców, sami uciekli razem z niemieckimi wojskami albo nawet wcześniej.

„Gdyby nie uciekli — mówi Marczyk — my by im pokazali! Zrozumieliby, co to znaczy: dwa dni w tygodniu pracowaliby dla państwa bezpłatnie, a 4 dni za pieniądze. Podatek płaciliby o 20% wyższy“. Praktyczny odwet, ale łagodny, jak na człowieka, któremu w czasie powstania „orgesze“ grozili śmiercią, któremu dom naszpikowali kulami, po którego w r. 1940 przyjeżdżało Gestapo i którego brat zginął w Oświęcimiu.

U innych mieszkańców Giełczyna w sierpniu 1945 r. w ogóle nie było już chęci odwetu. Antagonizm polsko-niemiecki pozostał we wspomnieniach „wielkich Polaków“, pozostała świadomość groźnego niebezpieczeństwa, która nie opuszczała ich przez tyle lat, ale wypowiedane przez nich czasem sentencje tego rodzaju jak: „German to je wilk w owcej skórze“ albo „Germany to kłaki, z którymi żyć nie poredzi“, w sierpniu 1945 r. nie budziły we wsi emocjonalnego oddźwięku. Przywodziły na pamięć raczej różnych dobrych Niemców, z którymi można było żyć po sąsiedzku. Nie było w Giełczynie tego „bezwzględnego przeciwieństwa niemieckości i polskości“, z którymi zetknął się niegdyś autor *Antagonizmu polsko-niemieckiego* w „Kopalni“ ²⁾. Wroga-

¹⁾ *Op. cit.*, str. 29.

²⁾ *Op. cit.*, str. 60—61.

Niemca zastąpił tu hitlerowiec i to prawdziwy hitlerowiec, nie taki, co „do partai był niewinnie wciągniony“, albo co wszedł tam przez głupotę. Ale wśród prawdziwych hitlerowców trafiali się i Polacy, odstępcy od gromady. Hitlerowiec to nie było to samo co Niemiec.

Zresztą wskutek wydarzeń, o których pisałem wyżej, wskutek zawodów, jakie spowodowali nowi przybysze, dawne konflikty straciły znaczenie, dawne stereotypy przybladły. Ucieczka aktywnych hitlerowców, wysiedlanie innych Niemców zdeaktualizowało sprawę stosunków polsko-niemieckich w ogóle.

Przed mieszkańcami Giełczyna po wstrząsie ostatnich miesięcy stało natomiast zagadnienie włączenia się w nowy układ stosunków, w których nie było już miejsca dla Niemców. Nowa rzeczywistość zjawiała się w nowych kategoriach.

Mówiliśmy o przymiotnikowym i o rzeczownikowym sensie terminu „Polak“. Obecnie rzeczownikowy sens tego terminu rozdzielił się a równocześnie skonkretyzował: „Polak“ stał się rzeczownikiem oznaczającym członka bądź jednej, bądź drugiej ściśle określonej grupy wśród mieszkańców Giełczyna. Zjawiły się dwie kategorie Polaków, przy czym każda z nich nabrała tutaj zabarwienia w pewnym sensie klasowego czy stanowego: przynależność do tej lub tamtej to nie było już subiektywne wyznaczenie wiary ani kwalifikacja etniczna, to była sytuacja społeczna. Jedna z dwóch różnych sytuacji społecznych.

Jedną kategorię Polaków stanowią Polacy przybysze. Jest to kategoria uprzywilejowana. Uprzywilejowana już przez to, że polskość tych ludzi nie podlegała weryfikacji i że w przekonaniu tubylców posiadają oni zaufanie i poparcie władz. Drugą kategorię — to Polacy, którzy podlegali weryfikacji. Polacy miejscowi, Polacy drugiej klasy. Ale i oni uprzywilejowani w stosunku do tych, którzy nie zostali uznani za Polaków w ogóle.

Przywileje, o których mowa, to nie jest bynajmniej tylko sfera imponderabiliów. Wchodził tu w grę nie tylko prestiż społeczny, ale całkiem konkretne i bardzo doniosłe przywileje ekonomiczne. Podziałowi ludzi na trzy kategorie odpowiadały różne uprawnienia w zakresie własności. Prawo własności tych mieszkańców, którzy nie otrzymali polskiego obywatelstwa, było ograniczone do części przedmiotów osobistego użytku. Reszta ich dotychczasowego mienia pozostawała w ich władaniu tylko chwilowo, do czasu wysiedlenia. Polacy weryfikowani za-

sów ścierania się różnych systemów, wartości reprezentowanych przez różne zespoły ludzkie. Procesy te warte są obserwacji naukowej. Warte są również zainteresowania ze strony tych, którzy zajęci są planowaniem nowej Polski.

Zetknęły się nad Odrą dwie grupy ludzi o różnych tradycjach, różnym pochodzeniu i różnych postawach społecznych. Z tymi, którzy siedzą nad Odrą od czasów piastowskich, zetknęli się nowi przybysze z za Buga. Widzieliśmy pierwszą fazę tego zetknięcia. Widzieliśmy niezycliwy obraz każdej z tych grup, formujący się w świadomości drugiej grupy. Jak się rozwiną dalsze stosunki wzajemne? Czy jedni i drudzy będą żyli obok siebie jako dwie różne zbiorowości o odrębnych kulturach, czy pocnie się kształtować wspólna zbiorowość? Jakie czynniki odegrają główną rolę w przewycięzaniu antagonizmu? Jakie będzie tempo tych przeobrażeń? Jaki z tego wyniknie aliaż kulturowy? Jaką rolę w kształtowaniu się przyszłej społeczności odegra nadodrzańska ziemia i tradycje z nią związane? W jakiej mierze zaważy tu szkoła, w której będą się kształcili dzieci obu zespołów?

Wskutek przesunięcia się granicy Rzeczypospolitej, wskutek zmian demograficznych, w takiej skali dawniej nie spotykanych, zbiorowość regionalna etnicznego pogranicza przestała być zbiorowością pograniczną. Od narodowego obszaru niemieckiego oddzielił ją szeroki pas ludności przybyłej z Polski centralnej lub z kresów wschodnich. Jakie przeobrażenia w postawach społecznych Ślązaków z Opolszczyzny dokonają się wskutek tego, iż razem ze swą regionalną ojczyzną znaleźli się wewnątrz polskiego obszaru narodowego?

Jak się będzie dokonywał proces wrastania zbiorowości regionalnej w szeroką społeczność polską w okresie głębokich przemian społecznych i gospodarczych? Czy zostanie przewycięzone poczucie upośledzenia i hierarchia „stanowa“ oparta na pochodzeniu z tej czy z tamtej strony dawnej granicy? Czy poczucie niższości przestanie stanowić podstawę łączności w grupach tubylczych i jaką postać wówczas przybierze więź regionalna o starych tradycjach?

Tego rodzaju pytania — ciekawe dla socjologa a doniosłe dla budowniczych nowej Polski — narzucają się dziś, gdy się myśli o przekształcaniach, jakie się na tamtej śląskiej ziemi dokonują. Ponowny kontakt z nadodrzańskimi osiedlami może nas przekonać, iż wraz ze zmieniającą się rzeczywistością zmieniają się i problemy, które jej dotyczą.

Kwiecień 1947.

*

*

*

Ponowny kontakt, który przewidywałem w zakończeniu powyższego artykułu, miał miejsce w czerwcu r.b. Tym razem udałem się na dalsze badania do Gielczyna i jego okolic w towarzystwie asystentów Uniwersytetu Warszawskiego: dr. St. Nowakowskiego, J. Strzeleckiego i M. Czerwińskiego.

Miałem sposobność przekonać się, że powtarzanie badań terenowych w tej samej miejscowości w obecnym okresie szybkich przeobrażeń społecznych jest dla socjologa bardzo instruktywne.

Korzystając z tego, że mój artykuł w czerwcu nie był jeszcze złamany, mogłem po powrocie wprowadzić doń kilka drobnych uzupełnień nie wybiegających treścią poza sierpień 1945 r. Pod tym względem było dla mnie cenne zetknięcie się z wodzem miejscowych powstańców, który wprowadził swój oddział z Gielczyna do Trzeciego Powstania i który w czerwcu r.b. pozwolił mi skorzystać ze swoich archiwów.

Podczas czerwcowych badań interesowały nas przede wszystkim przemiany, jakie zaszły w zbiorowości gielczyńskiej od sierpnia 1945. Tematem tym zajmie się prawdopodobnie jeden z uczestników badań w oddzielnej pracy.

Wrzesień 1947